Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Nr. 34 Niedziela, dnia 22 sierpnia 1937 r. Rok V

Ktoś skrzydłami o me serce
trzepoce —
patrzę: jasno — —
fale jeziora migocą...
Ktoś mi słodkie,
dziwne pieśni śpiewa —
słucham — patrzę —
nie — to szumią trzciny, drzewa — —

Coś stanęło, coś przebiegło drogą...
słucham — patrzę —
nie — nie widać nikogo...
Słońce gaśnie...
Wiatr trzcinami chyboce — —
to nie ptak... ani drzewa...
to tęsknota...
tak bolesnym wciąż skrzydłem
trzepoce...

Józef Baranowski



błędne ogniki

MARIA REUTT.

2)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

Przywiedli raz do komisariatu żydka. Wystraszony był, pokorny, obiecywał odszukać wszystkie kryjówki oficerów i bogaczy przebywających w mieście, a sam był bogacz nad bogacze. Dorobił się na domach publicznych i handlu żywym towarem.

Nakłamał w policji, obiecywał złote góry, jeżeli go wypuszczą.

Szofer nie wytrzymał. Zeskoczył z siedzenia, podbiegł do żyda, chwycił go za brodę, że razem ze skórą została mu w ręce i tłukł jego parszywą głowę o mur ganku.

— Ach ty psi synu.... ty Judaszu. Oddaj ty najpierw to złoto, które zakopałeś po różnych ogrodach swoich wspólników. Przyprowadź ich tutaj z synami i dziećmi, przyprowadź swoją opasłą, obwieszoną klejnotami żonę, która pomagała ci nasze biedne towarzyszki, siostrzyce w doli robotniczej, jak bydlęta sprzedawać na uciechę opasłym burżujom, brudnym świniom hrabiowskim i magnackim.

Tych przyprowadź najpierw jako zakładników i twoją córkę Surę, delikatną panienkę o pieszczonych rączkach i jedwabistych pachnących włosach.

Tłukł go dalej w pasji najwyższej, aż z rozłupanej głowy mózg obryzgał ścianę domu.

— Nie żałujcie go — powiedział spokojnie — ja wiem gdzie się znajduje jego żona Hana i córeczka Sura i synek Józef i wspólnik Tomiszew Jefraim i Synajko Adolf i wiem kogo on chciał wydać. Ja go znam. Zachciało mi się dziewczyny, poszedłem do jego zakładu. Chytry on był, do małego domku się przeniósł a w podziemiach urządził czysty harem.

Spodobała mi się dziewczyna, posadziłem ją sobie na kolana, dałem wina, a potem kazałem zaprowadzić się do osobnego pokoiku. I tu opowiedziała mi, jak ją, córkę chłopa, namówił na służbę przez agenta. Obiecywał jej dobrą płacę i lekką służbę. Narzeczonego miała, złakomiła się na dobry zarobek i uwierzyła, a on zamknął ją w domu takim, bił i głodem morzył, aż zgodziła się... Nie chciała uciekać... bo i po co?, choć ją namawiałem. Już mnie nic nie ciągnie do swoich... ale był czas, że na kolanach się za nim ciągałam, by mnie puścił... — mówiła mi. No to ja się zaciekawiłem, zrobiłem dochodzenie, zobaczyłem tę jego Hanę i Surcię i Józefa... — dokończył wyjaśnienia swej zażartości na żyda.

O zajściu tym z wielkim zadowoleniem opowiadał Petrow swej Dance, a gdy pobladła z wrażenia — szydził z niej. — Delikatna panienka z dworu!...



Katedra w Upsali, słynnym mieście uniwersyteckim w Szwecji, zbudowana w 13-tym wieku, grozi zawaleniem.

W krótkim czasie szofer Stepan Pietrowicz Sumaków zrobił się ulubieńcem, powiernikiem, prawą ręką komisarza.

Nie mógł się bez niego obejść. W chwilach dobrego humoru zabierał go ze sobą do domu i pili razem do rana.

Po pijanemu skarżył się na Dankę, płakał obfitymi pijackimi łzami oparty o ramię szofera.

— Ona mnie nie kocha... słyszysz ty, nie kocha mnie, komisarza Pietrowa... Chcieli ją przeznaczyć do czyszczenia publicznych wychodków... zabrałem ją ze sobą, ustroiłem w aksamity i złoto, osadziłem w pałacu, proch przed nią zdmuchuję a ona nic, tylko jedno wciąż: „odeślij mnie do Polski, albo zabij"... Czy tu jej źle, czy jej choć mleka ptasiego brakuje... a ona ani przyhołubić ani polubić nie chce. Odpycha, otrząsa się jakbym gadem był, ta dumna polaczka... Sto innych dziewczyn po nogach by mnie całowało z wdzięczności.

Głaskał go szofer jak małe dziecko po głowie i uspakajał: wy, towariszcz komisar, źle postępujecie z nią, Kobieta to przewrotne stworzenie. Odpycha was, bo za bardzo się do niej łasicie. Okażcie się mężczyzną, nie dokuczajcie jej czułościami, a zobaczycie, że sama do was przyjdzie.

— Kiedy ja ją tak kocham... płakał.

— Innej rady nie ma — odpowiadał sługa.

* * *

Andrzej nie tylko umiał wkraść się w łaski pana, zabiegał również o przyjaźń Fiokły kucharki i gospodyni zarazem, Kanona lokaja i ogrodnika w jednej osobie, a nawet stróża Kallinika. Przynosił im wódkę, którą niewiadomo gdzie i jakimi sposobami zdobywał, dostarczał machorki i papierosów.

Danka nie cierpiała go. Czuła w nim nowego szpiega. Chodził cicho, skradającymi się szybkimi krokami. Zjawiał się przed nią wówczas, gdy się go najmniej spodziewała. Znienawidziła jego wygoloną śniadą, opaloną na ciemno bronz twarz, jego szare przenikliwe oczy, patrzące badawczo spod czarnych, krzaczastych brwi, jego bezczelny, okrutny uśmiech i jakby drwiący głos.

— Podła bestia — myślała ze wzgardą, ile razy z nim zetknęła.

* * *

Nadchodziło Boże Narodzenie. Śnieg wypadł, ale mróz dochodził zaledwie do paru stopni i słońce zalewało miasto gorącymi tęczowymi potokami światła.

W mieście szykowały się bezbożników, bale i zabawy. Cerkwie pozamykano.. Oficjalnie Boże Narodzenie nie istniało w kraju krwawych eksperymentów socjalnych.

— Danka — zrób sobie dwie nowe suknie — rozkazał komisarz wchodząc do buduaru. Rzucił jej do stóp paczki.

Siedziała na kanapie z książką w ręku, nie podniosła oczu, nie spojrzała na mężczyznę.

Wyrwał jej książkę z ręki, odrzucił w kąt pokoju.

— Zobacz co ci przyniosłem! —

Milcząc podniosła paczki i rozwinęła je. W jednej był jedwab różowy koloru cielistego w drugiej granatowy aksamit miękki, jedwabisty.

Przyłożył jej materiał do twarzy. — Śliczna będziesz... Uszczypał ją w policzek z zadowolenia.

— Zagraj mi „dumki" — rzucił się na fotel.

Bez sprzeciwu usiadła przy pianinie.

Przepadał za muzyką i znał się na niej, choć sam grał chyba na harmonii tylko. Grywała mu Griega, Czajkowskiego, Noskowskiego, Moszkowskiego, Chopina. Mendelssohna, wybierając rzeczy łatwiejsze. przystępniejsze dla samouków muzycznych.

Wyciągnął się wtenczas wygodnie na fotelu, palił papierosy i słuchał z wyrazem rozrzewnienia na twarzy.

Zastał go tak szofer. Na widok Stepana, Danka niechętnie zmarszczyła brwi i urwała muzykę. Pietrow leniwie podniósł się z fotela.

— Kocham muzykę, nie mógłbym żyć bez niej — usprawiedliwił się Stepanowi.

— Wrócę późno, bo jadę na doprosy do Matwiejówki. — Zabili tam komisarza. Dam ja im bunty!

W oczach mignęło mu okrucieństwo.

Musnął Dankę ręką po twarzy.

— Zatelefonuj po krawcową, bo musisz miec obydwie suknie na Nowy Rok.

* * *

Krawcowa Zoja Koływcow przyszła zaraz po otrzymaniu wezwania z żurnalem i miarą.

Była to zażywna jejmość, nie znosząca bolszewików, nie uznająca ich rządów, a mimo to żyła i nawet cieszyła się opieką władz.

Krawcowe miały rację bytu, bo nawet w bolszewickiej Rosji kobiety chcą się ubierać, a cóżby robiły żony i kochanki komisarzy, gdyby nie Zoja. Na cóż przydałyby im się te aksamity i jedwabie zagrabione przez ich mężów i kochanków, gdyby nie można było uszyć z braku dobrej krawcowej?

Przyszła zadyszana, zła.

— Towarzyszko, wyobraźcie sobie, co za świństwo. Idę do was, wtem nalatuje na mnie samochód. Siedzi w nim Kławdja, która u mnie była za podręczną. Futro na niej bogate, w uszach brylanty, roparta jak carowa. Szofer w skórzanej kurtce...

O włos mnie nie przejechał. Zwolnił tuż przy mojej nodze, zwymyślał, a ona popatrzyła na mnie pogardliwie i wykrzywiwszy się powiedziała tak głośno żebym mogła usłyszeć: — ta hołota nie nauczy się widać nigdy chodzić po ulicy. —

— Patrzcie no... hołota... a ona kto? wycirus — matka straganiarka, a córeczka kochanka tego żyda komisarza sędziego!

Obejrzała oba materiały, przykładała je kilka razy do twarzy Danki.

— Będzie pani śliczna, najpiękniejsza. Ma pani szczęście, bo komisarz Pietrow to wcale niezły człowiek. Opływa pani u niego jak pączek w maśle.

Po ustach Danki przemknął słaby uśmiech.

— Dobry dla niej, póki mu się nie sprzykrzy, — pomyślała — a dla niej ta Rosja przeogromna to jeden lodowiec, zimny, obcy, wrogi, z którego nie ma juz dla niej wyjścia.

* * *

Na balu u komisarza policji poznała jego zastępcę Aleksandra Grünbauma, żydka rodem z Augustowa. Ucieszył się, że jest polką, rozmawiał z nią po polsku, najczystszą z warszawskim akcentem polszczyzną. Ujał ją tym bardzo, zjednał i usposobił jak najżyczliwiej. Obiecał przyjść z wizytą.

Zjawił się w parę dni potem wieczorem, przyniósł ze sobą skrzypce i parę polskich książek: — Żeromskiego Dzieje Grzechu, Berenta Próchno, Daniłowskiego Jaskółki.

Grał z nią na fortepianie na cztery ręce, to znów akompaniował jej na skrzypcach.

Pierwszy raz od dwóch lat poczuła radość i uśmiech jej był naprawdę wesoły.



Gdy nadejdzie dzień imienin kochanej przez dzieci nauczycielki.

Prosiła, by przyszedł znów niedługo.

* * *

Od jego wizyty nabrała humoru, stała się nawet uprzejmiejsza dla komisarza.

— Co ci się podoba w tym żydku — zagadnął ją.

— Nie podoba mi się, ale mówi po polsku i przypomina mi Polskę. — odparła uprzejmie, bojąc się żeby jej nie zabronił widywać go.

— Niech więc chodzi, ale pamiętaj gdyby poważył się pocałować cię, wtedy... zrobił wymowny ruch ręką — a ciebie obatożyłbym kozacką nahajką. —

* * *

I Grünbaum przychodził co parę dni.

Z początku wieczorem, a potem wpadał w dzień, w godzinach rannych pod pretekstem nowej książki, nut programu do teatru.

Uśmiechała się do niego radośnie, witała mile. Obiecał dowiedzić się o matce, był pełen rezerwy, nie posuwał się dalej, jak do pocałowania ręki.

Zwierzyła mu się ze swej tęsknoty za krajem i rodziną. Słuchał pełen współczucia, na odejściu dnia tego pocałował ją dwa razy w rękę, przytrzymał jej palce dłużej niż zwykle w swych dłoniach.

A komisarz Pietrow zwierzał się szoferowi.

— Nie cierpię ja tego żyda, ale przez niego Danka nauczyła się śmiać, i czasem uśmiechnie się nawet do mnie. Rozmawia z nią po polsku, znosi książki do czytania, a ją to cieszy. Niech przychodzi. Zalecać się do niej nie ośmieli, a może ona pogodzi się z losem, przestanie tęsknić. On wie, że nieoddam jej żywej nikomu...

Grünbaum został naznaczony na komisarza policji do Ekaterynodaria. Miał się zameldować tam w ciągu miesiąca. — Zawdzięczał to komisarzowi Pietrowowi.

Przyszedł do Danki w samo południe i rzekł bez żadnego wstępu — Wyjeżdżam stąd za tydzień i postanowiłem pomóc pani przedostać się do Polski.

— Zabiorę panią ze sobą, a stamtąd skieruję ją przez Chiny lub Arabię okrężną drogą do Polski. — Zawierzy mi pani?

Podniosła na niego ufne, życzliwe spojrzenie.

— Wierzę, że pan jest moim przyjacielem... — pocałował ją w rękę na podziękowanie za zaufanie.

Umówili się, że podczas nieobecności Pietrowa, który często wyjeżdżał na prowincję w objazd, wymknie się z domu, a on będzie na nią czekał z samochodem. Zaufany szofer odwiezie ją do jego znajomych, kórzy odeślą ją autem dalej, by zmylić ślad.

Okazja nadarzyła się prędko.

Komisarz Pietrow został wezwany niespodziewanie do Moskwy. Kazano mu się przygotować na dłuższy pobyt — tydzień najmniej.

Przysłano po niego samolot wojskowy.

— Stepan, zostawiam wam pod opiekę towarzyszkę Dankę. pilnujcie mi jej dobrze — polecał szoferowi.

Łypnął oczami Stepan w stronę Danki i zapewnił uroczyście: — Nie bójcie się, już ja ją wam upilnuję. —

Nienawiść do tego wstrętnego osobnika rozżarzyła się znów w niej ogniem oburzenia i odrazy. i wzmogła chęć ucieczki.

Dwa dni po wyjeździe Pietrowa Grünbaum milczał, dopiero trzeciego odezwał się telefon.



Otwarcie międzynarodowego zlotu harcerstwa w Holandii. Na trybunie siedzą: królowa Wilhelmina i sędziwy twórca skautingu lord Baden-Powell.

— Przyjdę o jedenastej — Znaczyło to — czekaj na mnie za bramą o jedenastej.

Miała nie brać ze sobą nic, najwyżej grzebień i chustkę od nosa. Pożyczy jej pieniędzy na drogę.

Nie mogła się doczekać nocy. Godziny dłużyły jej się bez końca. Przed samym wieczorem szofer zaproponował jej przejażdżkę samochodem.

Wskazał jej miejsce obok siebie, pokazywał jak kierować maszyną, był uważny pełen szacunku.

Zauważyła że miał zgrabne ręce i czysto utrzymane. Powiedziała mu to. Zaśmiał się.

— Burżujka przez was przemawia, polska szlachcianka. Musicie się wyzbyć tych pańskich przesądów. Na co robotnikowi ładne ręce, byleby tylko były mocne do roboty.

Parę minut przed jedenastą zdjęła buciki, narzuciła płaszcz i cichutko zeszła na dół do saloniku. Otworzyła bezszelestnie okno i zsunęła się do ogrodu.

Jak cień przebiegła aleję i stanęła przy małej, ukrytej w krzakach furtce, którą wypatrzył Grünbaum i miał ją wytrychem otworzyć.

Położyła rękę na klamce, gdy czyjaś dłoń spadła na jej palce i zacisnęła je mocno, a znajomy, nienawistny głos przemówił cicho lecz stanowczo:

— Wracaj do domu towarzyszko Danko. Nie pomyśleliście o tym co by się stało z nami wszystkimi, gdyby komisarz, wróciwszy do domu, nie zastał was...

— Wracaj, idź spać. Fiokla będzie czuwać nad waszym snem, a ja nad waszym bezpieczeństwem. Drzwi frontowe otwarte.

Odwróciła się i poszła wolno w kierunku domu.

— Nie było dla niej wybawienia z niewoli, nie było możności ucieczki. —

Płakała noc całą wciśnięta w puch poduszki.

* * *

Komisarz wrócił wcześniej niż go się spodziewali. Zastał Dankę bladą, zmizerowaną, apatyczną, wrogą.

— Co się jej stało — dopytywał się szofera.

— Ten Żyd Grünbaum temu winien — odpowiedział ten zagadkowo.

— Pasy z niego drzeć każę — zirytował się komisarz.

— Umknął, nie czekał na rozmowę z wami — dorzucił szofer.

— Żyd parszywy — mruknął Pietrow.

* * *

Wojna... Wojna z Polską.

— Słyszysz Danka — wojna. Nauczymy Polaczysków moresu. Zaprowadzimy swój ład, porządek i sprawiedliwość w tej szlachecko-burżujskiej Polsce — puszył się Pietrow.

Zajęcia miał moc i nie mógł dużo poświęcać Dance. Brał ją jak dawniej ze sobą na wycieczki samochodem, ale bywały dnie, że zjawiał się dopiero w nocy, kładł się spiesznie spać, zrzucając z hałasem buty, zasypiając momentalnie. Wstawał o świcie, czasami nie przychodził na noc.

Danka poweselała, odetchnęła.

* * *

Minął maj... czerwiec... lipiec. Gazety sowieckie pęczniały, powiększały objętość, opisując wyczyny bohaterskie sowieckiej armii i tchórzostwa polskiego, burżuazyjnego, pańskiego wojska.

Ale nadszedł sierpień — a za nim wrzesień — sromotny odwrót bolszewickiej armii.

Pietrowa wezwali do Mińska. Miał brać udział w opracowaniu warunków pokoju.

— Pojedziesz ze mną.

Serce jej zabiło gwałtownie. Mińsk — tak blisko granicy polskiej — polskie miasto. A może uda jej się uciec, piechotą dotrzeć do granicy, do swoich.

W głębi duszy skryła swą radość, opuściła powieki na rozpromienione źrenice, by nie dojrzał co się w niej dzieje.

* * *

Pojechali koleją — jechał z nimi również na krytej platformie i samochód pod opieką Stepana.

Od czasu pamiętnego wieczora unikała go, nie patrzyła na niego, a zagadnięta odpowiadała krótko i ostro. Zmartwiła się, dowiedziawszy się, że i on jedzie. Nadzieja jej osłabła — podły szpieg bolszewicki — myślała z zaciętością.

W Mińsku zatrzymali się w hotelu Europejskim. Przydzielono im dwa pokoje.

Pietrow postarał się od razu o pianino, dywany, miękkie meble.

Nie było go po całych dniach, ale za to odwiedzały Dankę kochanki i żony komisarzy, mieszkające w tym samym hotelu.

Ciekawiły się jakie sobie przywiozła suknie, klejnoty, namawiały, by z nimi chodziła na spacer. Ale zawsze w chwili, gdy stawała na progu by wyjść zjawiał się Stepan z poleceniem od komisarza i Danka zostawała w domu wyglądając oknem, lub z szoferem jeździła po mieście, wroga, daleka, obca i temu słudze co siedział koło niej i otoczeniu.

* * *

Wypadki polityczne toczyły się swoim torem, wytkniętym przez koalicję.

Polakom nie dano wykorzystać owoców zwycięstwa. Oddano bolszewikom Mińsk, Mohilów, Czerników, Mozyrz, ziemie od wieków zaludnione Polakami, którzy mężnie bronili je pod Batorym, Czarneckim, Żółkiewskim, przed najazdem wrogów, pamiętali po przez lata ucisku, że są Polakami, dziećmi jednej wielkiej, wspólnej ojczyzny Polski. A za to oddano ich na zatracenie wrogom.

Taki obrót sprawy musieli dygnitarze uczcić balem.

Spodziewali się, i byli na to przygotowani, że będą żądać od nich oddania ziemi po Orszę, Mozyrz, Iskorość aż po Kamieniec Podolski, a tu im nawet podarowano Mińsk.

Nic więc dziwnego że radość panowała wśród komisarzy ludowych i serca ich wzbierały pychą i zarozumiałością.

* * *

Danka siedziała przy pianinie. W pokoju snuł się po meblach i ścianach mrok, z kątów wysuwały się widma wspomnień.

Grała Bethovena — Chór jeńców.

Widziała z okna jak przez ulice pod zbrojną eskortą szli jeńcy-Polacy, wymizerowani, zmęczeni, przygnębieni. Płakała nad nimi i by się uspokoić siadła do pianina.

I tu ją zastał Pietrow.

Nachylił się nad nią i opasał jej szyję sznurkiem pereł.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

WOJCIECH HOLM

44)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Służąca zaprowadziła go do pokoju jakiegoś gościa, który już wyszedł do miasta.

Palił się tam w piecu wesoły ogień, co Teobald zauważył z zadowoleniem.

Zamknął za sobą starannie drzwi, potem rozglądnąwszy się jeszcze dobrze, czy jest sam i czy go nikt nie może podpatrzyć, z maleńkiego słoiczka nalał jakiegoś niebieskawego płynu do jednej flaszki z koniakiem. Słoiczek wrzucił potem do ognia, flaszkę zaś, dla odróżnienia od drugiej, zaznaczył na etykiecie małym krzyżykiem, po czym schował ją do kieszeni.

— Świetnie się składa — mruknął do siebie. — Nie spał przez całą noc, tym bardziej będzie zmęczony. Nie jadł też nic i ciało jego jest wyczerpane niedawną chorobą. Będzie więc tym bardziej jeszcze potrzebowało pokarmu i wypije on więcej koniaku niż zwykle. Ponadto nie jest przyzwyczajony do naszej północnej zimy. Ludzie także popsuć mi nic nie mogą, bo nie rozumie on po niemiecku, mogę mu więc tłumaczyć wszystko, jak się mnie podoba.

Haczykiem nasunął ogień na ruszt i przekonał się, że słoiczek popękał na drobne kawałeczki.

Uspokojony wrócił do szynkowni.

— Panie gospodarzu — rzekł do gospodarza — nie mógłby się pan nam postarać o sanki?

— A dokąd panowie chcecie jechać? — zapytał szynkarz.

— Do Marii Śnieżnej — rzekł Teobald.

— Teraz, w zimie? — zdziwił się gospodarz — przecież o tej porze nikt tam nie jeździ. Najgorliwszy katolik zostawia to sobie na lato.

— Widzi pan — tłumaczył Teobald — ten pan jest bardzo pobożny katolik i podczas choroby ślubował pielgrzymkę do Marii Śnieżnej, gdy wyzdrowieje. Teraz chce dotrzymać ślubu.

— A tak, to co innego! Na taki pobożny cel to ja z chęcią dam moje własne sanki.

Mimo pobożnego celu kazał sobie jednak słono zapłacić.

Teobald nie próbował utargować nawet grosza, chodziło mu bowiem o to, żeby sobie pozyskać ludzi na przyszłość, na wszelki wypadek, gdyby przyszło na to, żeby nie świadczyli przeciwko niemu.

Z tej przyczyny także rozdawał hojne napitki i starał się, aby wszędzie pozostawić dobre wrażenie.

— Może i panna Ida nocowała w tym hotelu — niech się pan zapyta gospodarza! — rzekł markiz.

— Dobrze, zapytam — przyrzekł Teobald.

Potem zwrócił się do gospodarza z następującym pytaniem:

— Czy tutaj w lecie są także panie? Wróciłbym tu chętnie na wiosnę albo w lecie, gdybym wiedział, że można tu zawrzeć znajomości.

— Ależ można! — odpowiedział gospodarz z entuzjazmem — takie piękne panie przyjeżdżają tu latem, że wypatrzeć! Zobaczy pan; ręczę panu za to!



Ciekawe zdjęcie z manewrów wojskowych nad morzem. — Oddział piechoty załadowuje się na statek. Zdjęcie zostało dokonane w porcie szczecińskim.

Francuz zrozumiał z tego wszystkiego tylko potakiwania.

— Dzięki Bogu! — zawołał — więc ona tu była!

— Tak jest! — potwierdził Teobald — właśnie opowiada mi o tym!

— Mam nadzieję, że lepiej ją ugościli niż nas — rzekł de Lorme.

— Gospodarz był tak szarmancki, że odstąpił jej swój pokój bawialny; widzi pan, że wszędzie moja Ida umie sobie zjednać serca ludzi!

W czasie tej rozmowy parobek zdążył założyć konie. Podróżni wsiedli i pojechali.

Mimo wielkiego zmęczenia i rozdrażnienia markiz podziwiał piękności natury.

Jak piękne były te góry! Jak cudownie grupowały się te drzewa wzdłuż drogi!

Od czasu do czasu ukazała się gdzieś przy drodze chatka, której grube mury i dach obciążony kamieniami, stawiały opór niepogodom i burzom, a z małego okienka wychylała się twarz kobieca i dwoje oczu patrzyły za jadącymi.

Markiz zaś co kwadrans patrzył na zegarek i myślał sobie:

Znowu jestem o milę bliżej mojej najdroższej!

Po czterogodzinnej jeździe przybyli wreszcie na miejsce przeznaczenia.

W małej chatce zdziwili się mieszkańcy bardzo, widząc obcych o tej porze.

— Mam zaczekać tutaj? — zapytał stangret.

— Naturalnie! — odpowiedział Hai — konie można wyprząc, nakarmić i niech sobie biedne zwierzęta odpoczną.

— Panowie wrócą ze mną? — zapytał znów stangret poufale.

— Nie wiadomo! — odpowiedział Teobald — może jeszcze pójdziemy w góry.

— Ale proszę pana! — rzekł przestraszony furman — kto widział teraz chodzić w góry! Toż to śmierć gotowa! Albo w najlepszym razie choroba.

Na to Teobald odpowiedział ze śmiechem:

— Ja się dobrze wyznaję w tej okolicy, bo bywałem tu już. Dla mnie będzie przyjemnością zobaczyć, jak wygląda w zimie ten piękny zakątek.

Furman jednak miał minę, jak gdyby mówił z wariatem. Pokiwał głową, ale nic nie mówił.

Niedaleko oni zajdą w tych papierowych trzewiczkach — pomyślał sobie — jeszcze mi będą wdzięczni jak poczekam na nich i dadzą mi dobry napiwek.

— Bagaże nasze możemy tutaj zostawić! — rzekł Teobald, zwracając się niewinnie do człowieka, którego postanowił Będziemy tędy wracać, to je zabieżemy!

— Tak jest — odpowiedział de Lorme — a ile drogi mamy jeszcze?

— Dwie godziny dość forsownego marszu — odpowiedział Teobald — potem dodał:

Boże Święty, jak mi serce bije na myśl o tym, że za dwie godziny ujrzę wreszcie znowu narzeczoną. Daruj pan, panie markizie, że się tak szczerze przed panem wypowiadam, ale ja jestem szczery, mam uczciwy charakter i nie umiem się maskować, a mimo to nie mogłem się nigdy zdobyć nawet na niewinne, konwencjonalne kłamstwo.

Markiz patrzył na tę przewrotną twarz, i po raz pierwszy uświadomił sobie, budzące się w nim jasno podejrzenie, że jego towarzysz, to jakiś niedobry człowiek. Z tego jednak wyciągnął konsekwencje, żeby tym bardziej przeszkodzić połączeniu się Idy z nim i tęsknił już za chwilą, kiedy jej będzie mógł wyjawić swą miłość i poprosić o rękę.

— Właściwie czas nam wyruszyć — mówił dalej Teobald — ale musimy się wprzód posilić na drogę. W każdym razie przypuszczam, że nie dostaniemy tutaj nic lepszego, jak ten napój z cykorii, ale w naszym położeniu i to jest dobre.

— Ja dziękuję — odparł markiz, któremu spieszyło się ogromnie, pragnął bowiem jak najszybciej dojść do celu.

Tym lepiej — pomyślał młody pan Hai — jeżeli teraz nic nie będzie pił, to później z chęcią napije się koniaku.

Głośno zaś tłumaczył:

— Proszę pana, panie markizie, mamy jeszcze dwie godziny drogi na takim ostrym mrozie i to złej drogi, a to nie jest drobnostka! Powinniśmy się zagrzać, nim się wybierzemy.



Zdjęcie z pobytu księstwa Kentu w Krakowie. — Gości angielskich (w środku) oprowadzają hr. Tyszkiewicz (z lewej) i hr. Potocki (z prawej).

— Jak pan uważa — odparł markiz — przyznam się jednak, że ta zwłoka jest dla mnie nieznośna. Bóg wie jak długo musielibyśmy czekać na tę kawę, której potem nie będziemy mogli wypić.

— Na szczęście mamy koniak — rzekł Hai — możemy zatem iść.

Gospodarz nie zrozumiał ani słowa z tej, po francusku prowadzonej rozmowy i był całkiem pewny, że obaj podróżni zdążają do kaplicy. Toteż zdziwił się, gdy wyszli.

Po pewnym czasie wszedł do izby furman, który do tej pory był zajęty przy koniach, kazał sobie dać wiśniówkę i rozpoczął pogawędkę z gospodarzem.

Powariowali ci panowie z miasta. Jak pan myśli, panie gospodarzu? Czy oni tak dla przyjemności będą brodzić po śniegu?

— Co powiadacie? — zawołał gospodarz przestraszony — to oni wybierają się w góry? To trzeba mi było powiedzieć, byłbym ich nie puścił. A to gotowe nieszczęście! Jak oni kark skręcą albo zamarzną, to kto na tym będzie cierpiał? Tylko ja. Powiedzą, że to u mnie się stało takie nieszczęście. Może by jeszcze pobiegnąć za nimi i zatrzymać?

— Ale o! — zaprzeczył furman — przecież to nie dzieci, tylko dorośli i wiedzą, co robią. Niech pan lepiej zapali porządnie ogień, bo jak wrócą te wariaty, to będą zmarznięci jak kamienie.

Gedali, tak bowiem nazywał się gospodarz, dał się przekonać.

Tymczasem nasi podróżni szybkim krokiem szli w głąb gór.

— Ten spacer po śniegu — myślał młody Hai — jest dla markiza, który niedawno wstał z łóżka, prawdziwym samobójstwem. Dziwi mnie tylko, że on jeszcze tak dzielnie maszeruje.

De Lorme rzeczywiście dotrzymywał mu kroku, mimo, że droga była coraz bardziej stroma, a śnieg często po pas.

— Boże — zawołał nagle — gdy pomyślę, że panna Ida tędy przechodziła i że raz jeszcze tędy musi powracać, dreszcz mnie przejmuje.

— O tak! to ciężko dla mojej laleczki — przytakiwał Teobald i pociągnął koniaku z flaszki.

Odjąwszy flaszkę od ust, zakorkował ją szybko i schował do kieszeni, nie podając markizowi.

— Czy mogę poprosić o koniak? — zapytał de Lorme, czując, że go siły opuszczają.

— Na miłość Boską, panie markizie, niech pan teraz jeszcze nie pije! — zawołał Hai — uszliśmy bardzo mały kawałek drogi, a pan się zbyt zmęczy, gdy już teraz będzie pił!

Byli bowiem zbyt jeszcze blisko Marii Śnieżnej.

Upadając, podnosząc się, poślizgując się co chwilę, to gramoląc się mozolnie w śniegu, szli dalej!

Markizowi zimny pot występował na czoło. Śnieg oślepiał go, tak, że wziął ze sobą niebieskie okulary, które teraz ochraniały mu oczy.

— Nie mogę iść dalej! — stęknął wreszcie markiz — niech mi pan da ten koniak, bo zemdleję!

Teobald podał mu teraz bardzo usłużnie odkorkowaną flaszkę i to tę, która na etykiecie naznaczona była krzyżykiem.

— Niech pan za wiele nie pije — przestrzegał — żeby się pan nie rozespał!

— Będę ostrożny — zapewniał de Lorme, biorąc flaszkę.

Od czasu do czasu zdarzało się, że jeden albo drugi zsuwał się na dół po jakimś stoku wzgórza, a potem z ogromnym nakładem sił musiał się wdrapywać w górę.

W takim wypadku naturalnie sięgano do flaszki z koniakiem.

Ale dziwnym sposobem koniak, który pił Hai wzmacniał i wracał siły, gdy przeciwnie koniak markiza usypiał i obezwładniał.

Zasłaniając zmęczone od blasku śniegu oczy, wyjąkał markiz wreszcie:

— Muszę chwilę wypocząć!

To jego wyrok śmierci! — cieszył się w duchu Teobald, ale nie okazywał swojej radości, lecz przeciwnie, udawał zmartwionego.

Chwycił markiza za ramiona i potrząsając nim zawołał:

— Nie wolno panu siadać! Jeżeli usiądziesz na pięć minut, zamarznie pan i będziesz zgubiony!

Markiz upadł już na śnieg, lecz słysząc te słowa, z rozpaczliwym wysiłkiem podniósł się znowu.

— Ido! — szepnął — droga Ido, nie chcę umrzeć, chcę żyć i być szczęśliwym!

Z ogromnym trudem powlókł się jeszcze kawałek ku wierzchołkowi jednej góry, gdzie stał krzyż nad przepaścią, w której zginął swego czasu jakiś młody myśliwy.

— Nie mogę iść dalej — szepnął wreszcie — niech pan pannie Idzie zaniesie ode mnie ostatnie pozdrowienie i powie, że ją kochałem nad życie!

— Niech pan jeszcze napije się koniaku, panie markizie — zawołał Hai — to pana ożeźwi!

Sięgnął do kieszeni po jego koniak, ale flaszki nie znalazł. Nieszczęśliwy musiał ją zgubić w drodze.

— Pobiegnę po ludzi na pomoc — rzekł Teobald — a pan niech się trzyma, aż do mego powrotu, panie markizie!

Arnold de Lorme leżał pod krzyżem.

Oczy miał zamknięte; zimno już mu nie dokuczało i jakkolwiek miał zupełną świadomość tego, że grozi mu śmierć przez zamarznięcie, nie odczuwał najmniejszej trwogi, przeciwnie, odczuwał jakąś dziwną senność.

Ciało jego coraz bardziej i bardziej zapadało się w miękki śnieg!

Podstępnie wywabiony w pole, opuszczony i zgubiony w tych głębokich górach, czyż tak miał zginąć Arnold de Lorme?

Ach Ido, gdyby oczy twoje ujrzały tego cichego skazańca uśpionego w śniegu, straszliwy ból przeszyłby twe serce!

ROZDZIAŁ CLXX.

Ślepy żebrak

Gdy się Hortensja obudziła, zobaczyła, że leży w poczekalni szpitala na kanapie, i że nad nią pochyla się jakiś starszy pan z ogromnie współczującą miną.

Buteleczka z lekarstwem, którą trzymał w ręku zdradzała, że to jego usiłowaniom zawdzięcza Hortensja to, iż wróciła do przytomności.

W pewnym oddaleniu stał ze smutną, stroskaną miną, Luigi.

Młoda kobieta beznadziejnie patrzyła na jednego i drugiego, na jej liliowobladej twarzy widniała ogromna rozpacz.

Pierwsze słowa, które, jąkając się, wyrzekła, były:

— Chciałabym zobaczyć tego umarłego!

Lekarz zgodził się na to, wiedząc, że i tak nic już jej boleści nie powiększy. Łagodnie pomógł jej wstać i poprowadził ją przez długi korytarz do trupiarni, gdzie na drewnianych noszach, przykryte całunami, leżało zimne, martwe ciało.

Hortensja upadła na kolana i pomodliła się.

Potem dopiero wstała i podniosła całun, którym był trup nakryty.

I nagle wyrwał jej się z głębi piersi radosny okrzyk:

— Bogu najwyższemu niech będą dzięki! To nie jest on!

Lekarz, człowiek dobry i współczujący, ucieszył się także, widząc, że obawy jej się nie sprawdziły.

— To były artysta dramatyczny — rzekł, wskazując na trupa i zakrywając go na nowo całunem. — Cierpiał on wiele, a teraz ma pożądany spokój. Ale cieszę się bardzo, że zmarły nie jest bliskim pani. A czy wolno wiedzieć, kogo pani właściwie szuka?

Hortensja powiedziała mu dokładnie imię i nazwisko Leona; opisała mu jak wygląda i wymieniła datę dnia, w którym on ewentualnie mógł być przywieziony do szpitala.

— Ach, przypominam sobie — zawołał doktór po chwili namysłu — był, był, ale już go tu nie ma, wyzdrowiał i poszedł. Przypominam go sobie bardzo dobrze, zwłaszcza, że był to przystojny mężczyzna, chociaż chorobą i niedostatkiem bardzo zniszczony. Miałem zresztą w przechowaniu jego paszport, i jedyny kosztowny przedmiot, który miał, t. j. obrączkę ślubną, na której była wyryta jedna tylko litera i niedawna data.

— To on — zawołała Hortensja. — Panie konsyliarzu, niech mi pan jeszcze to zrobi i powie dokąd on poszedł?

— Postaram się dowiedzieć — odparł lekarz, prowadząc Hortensję do kancelarii i otworzył księgę szpitalną.

Potem zadzwonił na służącego.

— Braun — rzekł do staruszka — pamiętacie Nr. 39?

— Pamiętam, panie konsyliarzu. Młody, przystojny człowiek z tyfusikiem.

— Kiedyśmy go wypuścili?

— Jutro będzie trzy tygodnie — odparł służący.

— Tak jest — rzekł lekarz — pamiętacie dobrze, a może wiecie, dokąd on poszedł?

— Zaraz — pomyślał starzec, kładąc palec na nos — aha — rzekł wreszcie — razem z nim wyszedł Nr. 36 i obaj poszli gościńcem, jak do Poli.

— Nic więcej nie wiecie? — zapytał lekarz, a gdy służący zaprzeczył, dał mu znak, że może odejść.

— Żałuję bardzo — rzekł potem uprzejmie do Hortensji — że nic więcej nie dowiedzieliśmy się. Mogę pani powiedzieć, jak się nazywał ten człowiek, z którym pan Waldau wyszedł z Servolo. Był to rzemieślnik i nazywał się Ferdynand Schulz, człowiek bardzo spokojny.

Hortensja podziękowała mu serdecznie i ożywiona na nowo nadzieją, wybrała się na dalsze poszukiwania w kierunku wskazanym.

Zatrzymywała się przed każdą chatą po drodze i wypytywała o niego.

Niektórzy chłopi nie chcieli nic mówić, myśląc, że może zaszkodzą wędrowcowi.

Inni opowiadali szeroko i dokładnie wszystko, co widzieli.

Z ich ust dowiedziała się Hortensja, jakie wiódł nędzne życie, grą na harmonijce zarabiając na kawałek chleba.

Szła tak w jego ślady, nie zważając na niewygody i przykrości, które znosić musiała.

Nocowała w nędznych karczmach, jadała niewyszukane, nieraz trudne do przełknięcia potrawy wiejskie, ale znosiła to wszystko mężnie.

Wszędzie, gdzie tylko przyszła, opowiadano jej o dwóch wędrownych, z których jeden, czarny, przystojny brunet grał pięknie na harmonijce, a drugi, jego towarzysz, blondyn, zbierał rozmaite datki za bardzo piękną grę.



Na zdjęciu dworzec w Tientsinie (Chiny), gdzie toczyły się przez kilka dni zacięte walki japońsko-chińskie.

Na próżno zrozpaczona Hortensja zapytywała się każdego przechodnia i sypała pieniędzmi, nikt nie mógł sobie przypomnieć, czy widział tych dwóch podróżnych.

W jednej karczmie widziano wprawdzie człowieka, którego opis zgadzał się z opisem Sulza, ale ten miał dużo pieniędzy, nie mógł więc być identyczny z biednym rzemieślnikiem.

Po długim, bezskutecznym czekaniu, zajechała nareszcie do jednej dużej wsi i czekała w szynkowni, aż jej sporządzą pokój.

Nie chciała już nawet pytać o nic, gdyż była pewna, że znowu jej powiedzą:

— Nie widzieliśmy, tu ich nie było.

Czekając, spoglądała przez okno.

Naprzeciw widniał kościółek wiejski, do którego szli i z którego wychodzili pobożni wieśniacy i wieśniaczki.

Przed kościołem, na kamieniu, plecami odwrócony do niej siedział jakiś człowiek, a na ziemi kolo niego leżał kapelusz.

Hortensja widziała, że nawet bardzo biedni ludzie zatrzymywali się i rzucali mu grosze do kapelusza, co ją zdziwiło, zwłaszcza że człowiek ten miał bujne czarne włosy, zaczem nie mógł być stary.

Hortensja otworzyła okno, przez które brudne szyby nie mogła dobrze widzieć i usłyszała rzewne tony pieśni granej na harmonijce.

Siedziała tak i słuchała, gdy weszła służąca zajazdu i gadatliwie zwróciła się do niej:

— Pani słucha, jak ten ślepy gra, prawda, jak pięknie? Żal mi jego bardzo. Taki jeszcze młody i ładny a ślepy.

W tej chwili ślepy muzykant przeciągnął kilka tonów i Hortensji zdawało się, że zaczyna grać pieśń, którą ona skomponowała.

Straszliwe przeczucie przeszyło jej serce.

Zerwała się i drżąc na całym ciele wybiegła z szynkowni pod kościół.

Ślepiec bystrym słuchem niewidomych posłyszał lekkie kroki za sobą i odwróciwszy się, popatrzył na nią parą czarnych, pozbawionych blasku, zupełnie wygasłych oczu.

Hortensja wydała przeraźliwy okrzyk.

Ta nędzna postać w łachmanach, ten ślepy nędzarz, to był jej piękny, dumny Leon, jej mąż.

W następnej chwili, elegancko ubrana dama, rzuciła się na szyję ślepego żebraka i ściskała go z wszelkimi oznakami wielkiej miłości.

ROZDZIAŁ CLXXIX.

W podróży poślubnej

Mr. i Mrs. Tulliwer siedzieli w loży teatru paryskiego.

Ona bardzo wystrojona, ale i bardzo brzydka, spoglądała z poza kosztownego wachlarza często na scenę, częściej jeszcze na widownię.

On elegancki i nienaganny gentelman, wyglądał przy niej dziwnie młodo.

W ostatnich dniach małżeńskie ich pożycie było bardziej chłodne.

Mąż zaniedbywał żonę, nie pieścił jej i nazywał tylko krótko po imieniu.

Jeżeli ona chciała gruchać i skarżyła się na jego chłód i obojętność, odpowiadał, obracając wszystko w żart, albo mawiał zupełnie serio, że w przyzwoitym małżeństwie obie strony winny mieć zupełną wolność i swobodę.

W ten sposób pani Inez miała usta zamknięte i gdy mąż obchodził się z nią despotycznie, mścił się na niej los, za jej despotyczne odchodzenie się z rodzicami.

Inez postanowiła nie zdradzać się przed siostrą ze swoich przykrości, ale pani Waker była mniej wstrzemięźliwa.

Państwo Tulliwer i Waker odbyli razem podróż poślubną do Paryża.

Gdy pewnego razu panowie pozwolili sobie jechać osobno w wagonie dla palących, Fides zaczęła głośno płakać.

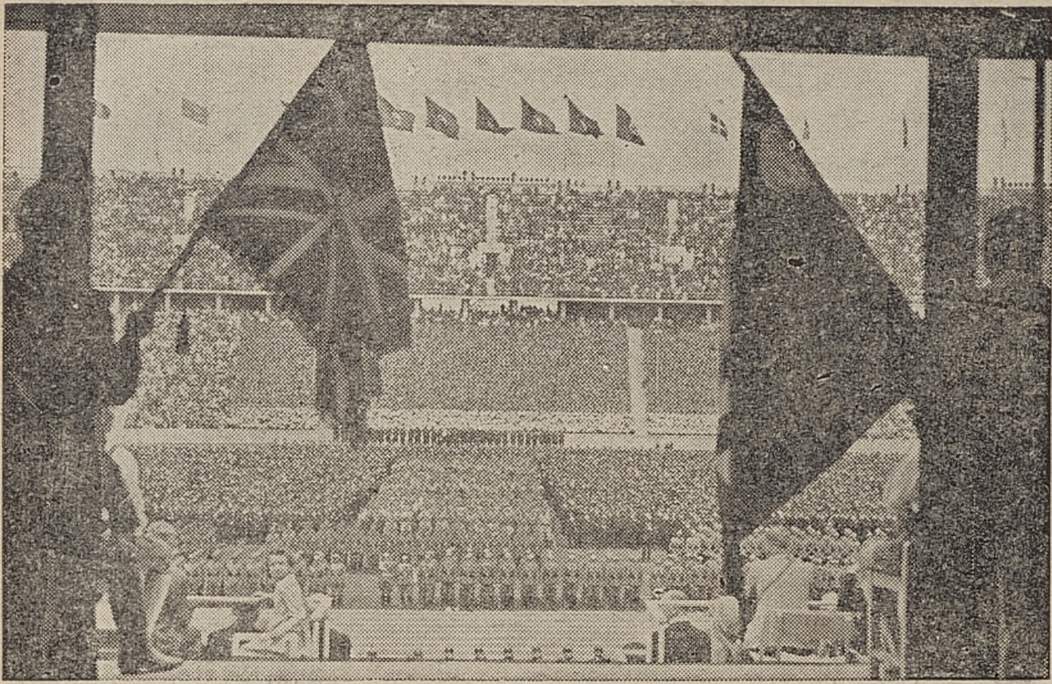
Wtedy to dopiero obie siostry zwierzyły się sobie ze swoich cierpień, bo i pan Waker również dla swojej żony był niedobry, ale postanowiły przed światem nie zdradzać tego.

Pani Tulliwer nie straciła jeszcze zupełnie nadziei, że owe sielankowe dni, jakie prowadziła w pierwszym miesiącu po ślubie, wrócą i próbowała wciąż na nowo ukuć go więzami miłości.

Fakt, że się nie wymówił od pójścia z nią do teatru, wzmocnił jej nadzieję, bardziej jeszcze to, że w teatrze okazywał jej grzeczność, jaką gentelman winien damie.

Sprowadził ją nadół przez schody, sam zarzucił jej szal na szyję, niósł wachlarz i lornetkę, przysuwał jej krzesło, a podczas antraktów przynosił dla niej owoce i lody.

Słowem taki był uważający, że Inez była szczęśliwa i zapomniała zupełnie o jego dotychczasowym chłodzie.



W Berlinie odbył się zjazd niemieckich i zagranicznych organizacyj b. żołnierzy frontowych. Na zdjęciu wielka manifestacja uczestników zjazdu dla spraw pokoju powszechnego.

Spoglądając na publiczność, zauważyła Inez naprzeciw jakiegoś młodego, bardzo eleganckiego pana, który z ogromną uwagą patrzył na nią.

To przykładał do oczu lornetkę, to spuszczał ją a brał monokl i znów wracał do lornetki.

Pani Tulliwer była jak najmocniej przekonana, że zrobiła konkietę, gdy zobaczyła, że spojrzenie to było skierowane nie do niej, lecz do męża. Powiedziała mu to, a on spojrzawszy na obcego, zbladł jak ściana.

Kiedy żona zdziwiła się, że się tak zmieszał tym widokiem i zapytała go o powód, odparł:

— Jest to markiz Waterfort, mój bardzo dawny znajomy, z którym nawet bardzo często bawiłem się nader wesoło. Nie poznaje mnie zapewne i dlatego tak uporczywie patrzy.

— A dlaczego nie idziesz do niego, kiedy to twój znajomy? — zapytała Inez, która koniecznie chciała poznać markiza.

— On wie, że ja jestem z żoną, to on powinien przyjść do mnie — odpowiedział pan Tulliwer — zresztą, on jest mi jeszcze winien z ostatniej gry w pewnym klubie sześćset funtów szterlingów i wiem że nie ma ich skąd oddać. — Gdybym podszedł do niego, myślałby, że się chcę upominać, a to byłoby bardzo niedelikatnie.

W kilka chwil potem, przez które markiz Waterfort wciąż spoglądał na nich, panu Tulliwerowi zrobiło się nagle bardzo słabo i niedobrze i musiał z żoną wyjść z teatru.

W garderobie się niecierpliwił, że ona powoli się ubiera i niespokojnie patrzył na drzwi od lóż. Gdy się tylko które otworzyły, wyciągał natychmiast chusteczkę od nosa i używał tego zbytecznego przedmiotu w ten sposób, że zakrywał nim prawie zupełnie swoją twarz.

Wsiadając do dorożki zauważyła Inez, że markiz Waterfort stoi u wyjścia z teatru i żywo rozmawia z policjantem i zdawało jej się, że wskazuje na nią. Kiedy opowiedziała o tym mężowi, pan Tulliwer zaklął niewyraźnie.

Podczas jazdy, co chwila wyglądał przez okno karety, tłumaczył się, że mu w powozie duszno i że musi zaczerpnąć powietrza, zaś, w rzeczywistości czynił to w celu stwierdzenia, czy go nie ścigają.

Gdy dorożka zatrzymała się przed hotelem wyskoczył z niej szybko i pobiegł na górę, a gdy po chwili dopiero żona, zapłaciwszy dorożkę, przyszła do pokoju, zapytał, czy też markiz Waterfort nie przyjechał za nimi.

Tłumaczył się tym, że wziął sobie za punkt honoru, aby nie spotykać się z markizem, i nie przypomnieć mu tego krępującego długu.

Jego nagły i szalony ból głowy zniknął zupełnie, zjadł kolację z dobrym apetytem, a pani Inez, zdziwiona bardzo zagadkową wspaniałomyślnością męża, nie miała odwagi o nic pytać.

Nazajutrz skarżył się, że go oczy bolą i włożył zaraz niebieskie okulary, których nie nosił już od czasu, jak przyjechali do Francji.

Dbał widać bardzo o oczy, chociaż zresztą nie bardzo szanował swoje zdrowie, gdyż całymi nocami miał do załatwiania jakieś sprawy ze swoim szwagierkiem, Wakerem.

Gdy młode żony robiły im wyrzuty, że je zaniedbują, odpowiadali:

— Czy sądziłaś, że zawsze będę cię pieścił. Ja mam ważniejsze rzeczy do czynienia, baw się sama, masz zupełną wolność.

Jeżeli żona w jakim wypadku płakała, wywoływało to wybuch gniewu u małżonków.

Wspólna niedola zbliżyła bardzo do siebie obie siostry.

Gdy mężulkowie wychodzili razem na swoje tak zwane interesy, wtedy one także wybierały się do miasta w najlepszej zgodzie.

Pewnego razu pokazała Inez siostrze jakiegoś wysokiego pana w niebieskim ubraniu, który jechał na białym koniu przez aleje ogrodu i opowiedziała całe zajście z mężem w teatrze.

— Powiadasz, że on się nazywa markiz Waterfort? — zapytała Fides zdziwiona — musiałaś się pomylić, bo to jest lord Seafsfield. Byliśmy raz razem w kawiarni Rivoli. On siedział naprzeciwko i bezustannie patrzył na nas. Nagle mój mąż szepnął mi, że musimy iść. Musiałam zostawić lemoniadę i pójść. Kiedyśmy przechodzili koło niego, Waker wydał policzki i skrzywił się niemiłosiernie, bo nie chciał, aby lord go poznał i opowiadał mi, że raz zranił go w pojedynku tak niebezpiecznie, że ten od tego czasu jest chorowity i dlatego nie chciał, żeby on go poznał.

Pani Tulliwer umilkła, ale bardzo była zaniepokojona, że jej mąż inaczej nazywał tego obcego pana niż szwagier i że obaj tak go unikali, podając za przyczynę błahe wymówki.

Obawiała się jednak pytać o wyjaśnienie swego brutalnego męża.

Po kilku dniach zauważyła, że nie ma już prawie pieniędzy.

Przy śniadaniu zupełnie niewinnie poprosiła męża:

— Kochany James, chciałabym trochę pieniędzy, bo moja gotówka się skończyła.

— Co? — zawołał marszcząc brwi, a gdy ona nieśmiało powtórzyła prośbę, odpowiedział brutalnie:

— Na co ci pieniądze? Ja płacę rachunek w hotelu regularnie, rzeczy masz więcej niż ci potrzeba, a przez okno wyrzucać pieniędzy nie pozwolę!

Tego już było za dużo nawet dla nieśmiałej wobec swego męża Inez.

— A więc nie dość, że mnie zaniedbujesz? — rzekła łkając — żądasz jeszcze żebym ja, która wzrosłam w dostatkach, żyła teraz w biedzie i nędzy?

Przecież to moje pieniądze, których żądam i nie masz prawa mi ich nie dawać. Zresztą potrzeba mi i koniec! Gdybyś chodził wszędzie ze mną, nie potrzebowałabym, ale że mnie zaniedbujesz, wszędzie muszę chodzić sama i wszędzie sama płacę!

Płacząc i łkając histerycznie, rzuciła się na kanapę. Mąż chodził ze zmarszczonymi brwiami po pokoju.

— Ach! — rzekł wreszcie, stając nad nią z miną obrażonego monarchy — i osoba o tak plebejuszowskim sposobie myślenia jest żoną księcia Sommersetshire? Gdyby mój wielkoduszny ojciec widział teraz tę scenę, to by mnie, swego najmłodszego i najukochańszego syna wyparł się za to, że sobie obrałem taką towarzyszkę życia.

Czyż nie możesz zapomnieć o swoim niskim pochodzeniu, że mnie, człowieka honoru i gentlemana obrzucasz takimi podejrzeniami? Starałem się majątek twój przez korzystne ulokowanie powiększyć i nie cofałem się przed żadnym trudem i żadną robotą, aby to doprowadzić do skutku. Ale dziś jeszcze oddam ci twoje pieniądze! Zarządzaj sama swoim majątkiem i strać go na głupich spekulacjach! Wydawaj na stroje i zbytki! Wyrzucaj przez okno, ja umywam ręce! Idę natychmiast do bankiera, żeby mi oddał twoje papiery.

Nie bój się, nie ruszyłem ani centa. Syn księcia Sommersetshire nie potrzebuje się utrzymywać z pieniędzy żony. Moja renta wystarcza mi zupełnie na moje potrzeby! Ale, ani chwili nie będę zwlekał z oddaniem ci twego posagu. Jestem to winien memu obrażonemu honorowi.

Rzeczywiście zabierał się do odejścia, ale żona upadła przed nim na kolana, błagając, żeby tego nie wykonywał.

Gniewne słowa męża tak ją onieśmieliły, że wydało się jej, jakoby była jakąś zbrodniarką, schwytaną na gorącym uczynku.

Prosiła go więc o przebaczenie najczulszymi wyrazami.

Mr. Tulliwer okazał się wspaniałomyślnym i oświadczył, że jej przebaczy, bo jego miłość większa od jego bólu, chociaż wszystkie jej słowa były dla niego pchnięciem sztyletu; ale że nigdy

(Ciąg dalszy na stronie 677.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

ECHA PRZESZŁOŚCI

Bije godzina dwunasta
Na starym zegarze miasta.
Hen z katedralnej wieży,
Od starej pożółkłej tarczy
Dźwięk zachrypnięty bieży
A coś w nim trzaska, coś warczy,
Zatnie się i dalej bije:
Raz, dwa, trzy, dziesięć, dwanaście...
Zamarło wszystko, co żyje...
Hej, ludzie, światła pogaście!

Bije godzina dwunasta
Na starym zegarze miasta.
Coś cicho westchnęło, przemknęło
I znikło w katedry cieniu,
Coś drzwi otwarło, zamknęło;
Dźwięk się rozpłynął w westchnieniu
A z katedralnych podziemi
Jasność się biała przędziera
W szacie z słonecznych promieni
Zbawiona dusza spoziera.

Bije godzina dwunasta
Na starym zegarze miasta.
Z za pałacowych podwoi
Barwny wygląda tłum —
Po starych salach się roi,
Jedwabiu zostawia szum.
Wieków opada zasłona
Z pożółkłych już dawno stronic
Ta druga świata strona
Rąbek uchyla tajemnic.

Bije godzina dwunasta
Na starym zegarze miasta.
Z poza drzew kopuł zielonych
Srebrzysty płynie śmiech
Tych chwil dawno minionych,
Dawno przebrzmiałych ech...

Bije godzina dwunasta
Na starym zegarze miasta.
U stawu zielonej krawędzi
Księżniczka patrzy w dal —
Chleb rzuca dla łabędzi,
Co się kołyszą wśród fal.
Księżniczka w krynolinie,
Gosposia księża w fartuchu —
Wszystko się rusza, biegnie, płynie
I nagle staje w bezruchu.

Bije godzina dwunasta
Na starym zegarze miasta.
Dawne odżyły wspomnienia
I przez uśpione miasto płyną;
Dawne zalśniły marzenia
Nad ciemną życia głębiną.

Halina Turkówna.

LEPIEJ POCZEKAĆ...

„Śmieszka z Pomorza". Bardzo długo zastanawiałam się nad Twoją sprawą, Droga „Śmieszko z Pomorza", a do tej pory nie mogę wydać konkretnej decyzji. Doprawdy, że jest to zagadnienie niezwykle trudne do rozstrzygnięcia.

Gdybyś była zamożną, to łatwiej byłoby mi wskazać Ci drogę jasną i pewną, lecz tak... Postaram się na tym miejscu naświetlić odpowiednio całą tę sprawę, a Pani, „Śmieszko", zadecyduje ostatecznie, gdyż ja — choć bym nie wiem jak rozumne i przekonywujące argumenty przytaczała — nie mogę ani nakazać ani zakazać Ci czegokolwiek, nie mówiąc już o tak ważnej rzeczy, jak ta, którą mi przedstawiłaś.

Otóż powiem Pani, że raczej nie radzę wychodzić za człowieka rozwiedzionego. Zwykle, gdy dwoje ludzi się rozwodzi, po dwóch stronach jest wina — to znaczy, że żadne z tych ludzi nie jest bez błędów i ciężkich wad. A jeżeli już je ma, to nie istnieje najmniejsza pewność, że później w pożyciu z nową żoną nie wypłyną one na forum i nie zatrują życia drugiej z kolei osobie.

Ponadto jesteś wszak jeszcze tak bardzo młodą — nie musisz, przypuszczam, wychodzić za człowieka niekochanego tylko po to, aby mieć podporę materialną dla dziecka i siebie. Gdybyś tak zabrała się do jakiejkolwiek pracy samodzielnej — nie musiałabyś wówczas być ciężarem rodzicom. Zaś dziecko niechby Ci oni przypilnowali i z Twoją gorliwą pomocą wychowywali do czasu, aż z czystym sumieniem mogłabyś mu zapewnić pewniejszy byt i opiekę, bo przecież zawsze jeszcze możesz znaleźć mężczyznę, który Cię pokocha i weźmie w opiekę naprawdę stałą, a co za tym idzie — i Twoje dziecko.

Jeżeli jednak jesteś zupełnie pewną, że człowiek, o którym mowa, jest naprawdę uczciwy i godny zaufania, że tylko dzięki jakimś fatalnym okolicznościom zawdzięcza to nieszczęście rozwodu z pierwszą żoną — to zgódź się wyjść za niego, ale... nie zaraz, nie tak nagle! Poczekajcie sobie jaki rok, a nawet dwa. Przez ten czas będziecie mieli wzajemną możność gruntownego poznania swych charakterów i wypróbowania stałości uczuć. Po co się spieszyć! Lepiej poczekać trochę niż później żałować i może przeklinać niefortunny pośpiech w rzeczy tak ogromnie ważnej, jaką jest pobranie się dwojga osób z myślą o całym długim życiu.

Zresztą powiem Ci otwarcie, że mam Cię za bardzo rozumną, myślącą kobietę, która będzie umiała przewidzieć i przezuć, gdzie leży jej szczęście, która nie przegra — jak to się popularnie mówi — spokoju własnego życia.

Na zakończenie pozdrawiam Cię bardzo serdecznie i proszę o zakomunikowanie mi ostatecznej decyzji. Wreszcie umieszczam Twoje komunikaty:

„Tricotrinie", co teraz porabiasz? Zapomniałeś o Nineczce? Z Gdyni wróciłam 7 lipca.

Panno Mary T. z Gdyni — czy pamięta Pani przejażdżkę na łódce do Redłowskiej polanki? Serdecznie pozdrawiam!

Władku S. — co z Tobą? Czy mój „Jaś" w porządku? A pamiętasz naszą wycieczkę na Kamienną Górę i te piękne widoki na Bałtyk!?! Tak bardzo ciężko było mi opuścić jego brzegi i Was wszystkich.

Pozdrawiam całą naszą „bandę".

„Te-Em" — czy mogę poprosić o mały wierszyk?

„Złamanej Brzózce" dużo, dużo dobrego!

„Dzikuską" jestem zachwycona; może do mnie napisze?

Wszystkim Czytelnikom oraz „Krainiakom" moc pozdrowień!

DZIĘKUJEMY

„Młody Orzeł". Serdecznie Panu dziękujemy, „Młody Orle", za pozdrowienia nadesłane nam z Porąbki. Może zechce nam Pan napisać coś więcej o sobie i okolicy, którą zwiedzasz, czy może spędzasz dni wakacyj.

Życzę Panu wraz z całą „Krainką" dużo, dużo przyjemności i pozdrawiam Pana jak najserdeczniej.

ZAŁATWIŁAM

„Mała Konwalijka". Dziękuję Ci, „Mała Konwalijko", za list i pozdrowienia, które serdecznie odwzajemniam.

Sprawę ogłoszenia i przekazania obu czasopism załatwiłam. Nie wiem tylko dokładnie, gdzie przekazywać listy, które wpłyną na skutek ogłoszenia — może napiszesz mi to, bardzo proszę!

Miło mi stwierdzić, że przyjemnie spędziłaś urlop — życzę Ci nadal najlepszego!

ŻYCZĘ CI...

„Krzysia z nad Bałtyku". Ach, Ty jesteś kochany ogromnie dzieciak, Ty Mała Krzysiu! Tak pięknie piszesz do mnie.

Ale Wy, „Krainiacy", dowiedzcie się także, co robi to Dziewczątko. Otóż urządza wycieczki rowerem nad morze, bo pod te czasy jest nad Bałtykiem uroczo. Bezmiar wody i okręty w dali stwarzają śliczny widok, więc ona wykorzystuje każdą chwilę, spędzając długie bardzo godziny na plaży i na spacerach po brzegu.

Życzę Ci, abyś jak najwięcej piękna malowniczych brzegów i tonacyj barw, grających na falach wiecznie zmiennego morza — wchłonęła w siebie.

Wujek Janusz dziękuje Ci za pozdrowienia i pozwolił mi oznajmić, że bardzo chętnie przyjmie list od Ciebie i wcale nie okaże się mniej serdecznym przez to, że nie komponujesz wierszy. Jest on wielce rozumny i ogromnie dobry, przeto dla wszystkich ludzi wartościowych ma dużo serca.

A teraz szybko umieszczam Twoje komunikaty, gdyż jest ich tyle, że mam poważną obawę, czy miejsca w „Krainie" nie zbraknie:

„Halo, halo! „Krainiacy" — ślę Wam wszystkim moc pozdrowień i uśmiechów.

Przyznaję się, że okropnie polubiłam „Stela", bo ostatnio w główce mam tylko lotników. Szalenie lubię ich marsza i „Stel" chyba nie domyśla się, że boję się, abym nie zawróciła sobie nim zbytnio głowy, bo... miłość jest tak okrutna!

„Elżuni z Torunia" i „Słodkiej Gildzie" ślę moc pozdrowień. „Elżuśko", za śliczną fotkę całuję Twą słodką buźkę.

„Zbijokruka poznańskiego" za pozdrowienia przesłane mi z Zakopanego ściskam serdecznie i całuję.

„Zapomniana Syleno" — przyjm serdeczne uściski i zapomnij o smutku!

Drodzy Sympatycy, napiszcie do „Zapomnianej Syleny", bo jest to śliczna dziewczynka, a tak bardzo, bardzo smutna — więc napiszcie i koniecznie rozruszajcie ją.

„Rudii 220—380" niech przyjmie moc uśmiechów z nad Bałtyku.

Czy wie „Wiarus - Murzynek", że bardzo go lubię, jak również „Stela"? Śliczne pozdrowienia „Wirrytowi", „Słodkiej Danusi", „Wenus", „Królewnie Bałtyku", „H. K. z Torunia". „Złotemu Słoneczku" przesyłam tysiące pozdrowień.

Czy znajduje się w „Krainie" ktoś w granatowym mundurze P. P. — jeżeli tak, niech da znać o sobie.

Załączam także pozdrowienia dla tego kogoś, co to ma miły wielce pseudonim: „Pepi w mundurku".

Oj, jeszcze czegoś zapomniałam, mianowicie, że „Bursztynowe Serduszko" w następnym liście przyślę swoje fotki, z których jedna będzie dla „Krainy".

PROSZĘ O PODANIE ADRESU!

„Złocista Gwiazda". Miło mi, że ośmieliła się Pani wreszcie napisać do mnie.

Prosi Pani o dokładny adres mój — proszę pisać zawsze: Redakcja „Moich Powieści", dla p. Zofii. Zaznaczam, że tak zaadresowana korespondencja dochodzi tylko do mych rąk i ma zapewnioną idealną dyskrecję.

Rady, o którą prosiłaś „Złocista Gwiazdo", na łamach „Krainki" dać Ci nie mogę z przyczyn zasadniczych. Podaj mi dokładny swój adres z dołączonym znaczkiem na odpowiedź, a wyślę Ci list prywatny. W każdym razie podaję Ci, że koniecznie w podobnych wypadkach należy zwrócić się do lekarza.

O jaki krój chodzi Ci? Napisz mi wyraźniej, a nieomieszkam Ci go zasłać.

Zatem napisz mi szybko list, abym mogła posłużyć Ci radą, zaś na razie przyjmij moje najserdeczniejsze pozdrowienia.

MYLISZ SIĘ...

„Simpson". Ja również z ogromną przyjemnością przeczytałam znowu Twój liścik i możesz mi wierzyć, że zawsze chętnie rozmawiać z Tobą będę. I nie masz zupełnie powodu czuć się onieśmieloną względem tej p. Zofii, która masy Sympatyczek i Sympatyków „Krainy" rozumie, ciesząc się ich radością i smucąc ich bólem.

Więc wyjechałaś do Wujostwa na wieś i dobrze się tam czujesz — jakże mnie to cieszy! Dobrze, że i jezioro masz tuż pod domem, za czym możesz dowoli korzystać z kąpieli i jakiego tam jeszcze wodnego sportu! Bardzo to miłe! I to także, że postarałaś się tak pięknie opalić. Lubię podobne Tobie zuch - dziewczyny.

Owszem, zgadzam się z Tobą, że leniuchować nie można. A piękna będzie ta serweta haftowana dla Cioci? Spodziewam się!!

No, ale skończę ten list do Ciebie, wpierw jeszcze pozdrowiwszy Małą „Simpson" jak najserdeczniej i wyłuszczając Jej, że co do mej osoby na zdjęciu pomyliła się najzupełniej. Imię też się nie zgadza — lecz sądzę, że to nie jest ważne.

„Halo! „Merle" smutno Ci bez siostruni? Za pozdrowienia dziękuję i odwzajemniam!

„Ziuta S. — B." Na nową drogę życia przesyłam Pani moc życzeń.

Wszystkim „Krainiakom" ciepłe uśmiechy!

DLA WSZYSTKICH...

„Ciemnooka Ira". Uważam, że za mało napisałaś do nas tym razem, Mała Dziewczynko, więc popraw się, proszę i w przyszłości pisz więcej. Lubię, jak mówicie ze mną dużo — dlatego karcę wszelkie zbyt krótkie listy.

Napiszesz mi więcej, prawda? Więc przyjmij moje serdeczne uściski i spojrzyj wraz z wszystkimi „Krainiakami" na poniżej umieszczone własne komunikaty:

„Halo! Czy my się nie znamy, „Zrównoważony Jasiu"? Mieszkasz pewnie w Warszawie — jeżeli tak, to wiąże nas miłe wspomnienie. Napisz do mnie.

Serdeczne słowa dla „Reni z Kolna", „Rusałki", „Romantycznego Śpiewaka", „Bolusia", „Dor — on'a", „Smutnego Sztubaka" oraz wszystkich „Krainiaków" i Czytelników naszego pisma!

NIE WARTO

„Irce - Bajce".

Chcesz ze mną nawiązać kontakt?
A ja ci mówię: nie warto.
Sny moje dawno umarły —
Jestem wytartą już kartą.

Zawody i bóle jeno
Wciąż były moim udziałem
I, jakże często, w snach przeszłych,
Miast śmiać się, przeważnie łkałem.

Dlatego nie chcę cię wciągać
W orbitę przykrych mych żalów,
Już mi dziś wystarczyć musi
Wieś moja cicha, mój Galów.

Jestem obecnie jak stary,
Nabrzmiały rozpaczą rapsod.
Sam pójdę dalej, przed siebie,
do końca dni moich, naprzód...

Tobie zaś życzę jedynie —
Pamiętaj, Irko, te słowa:
Baw się wesoło, radośnie
I — dowidzenia, bądź zdrowa.

Adam Czekalski.

MYŚLĘ, ŻE ZNAJDZIESZ...

„Krakowianka". Przyjmuję Panią do „Krainki" i proszę czuć się z nami dobrze. Myślę, że w stałym kontakcie z nami znajdzie Pani to, czego szukasz tak skwapliwie. Mianowicie zapomnienie starych krzywd i przykrości. Myślę, że ponadto uda nam się rozproszyć chmury gnębiącego Cię smutku, jeżeli już nie zarazić naszą radością i młodzieńczą werwą.

Oczywiście, że znalazło się dla Pani miejsce w naszych szeregach i to wcale nie na szarym końcu. Bo jakże tam umieszczać osóbkę, która z całej duszy pragnie chociaż trochę radości zaczerpnąć z naszej „Rodzinki", aby przenieść ją w swoje własne smutne życie. I która, będąc urzędniczką państwową w małym miasteczku, ma tylko jedną przyjaciółkę tego samego zawodu nota bene bardzo od siebie oddaloną, bo przestrzenią kilku kilometrów. Którą wreszcie męczy smutek doznanego zawodu.

Postaramy się rozweselić Pani smutek i serdeczną troskę — a teraz pozdrawiam Panią i poniżej zamieszczam Jej komunikaty:

„Halo! Całej „Kraince" ślę dużo dobrych słów!

„Zrównoważony Jasiu" — pięknie, że wybierasz się w góry! Cudnie tam — a jak się człowiek już z nimi zżyje, serce boli, gdy je żegnać musi.

Życzę Panu wiele radości i wesela — pięknej pogody i przyjemnej jazdy na „Kasprowy", tudzież bogatych wrażeń na Strążyskiej.

A może Pan coś napisze, gdy już tam będzie? Adres mój Witkowo k. Gniezna, poste-restante, dla „Krakowianki".

Jeżeli komuś z „Krainianek" i „Krainiaków" dobra wola i czas pozwoli, proszę do mnie coś napisać, przyrzekam rewanż!

Dużo napisałam, ba! rozgadałam się niczym, bo ja wiem kto!... Lecz ufam, że „Rodzinka" za złe mi tego nie weźmie. Bardzo zależy mi na jej przychylności i pragnę więcej, bo... przyjaźni!...



Poważnie i jakoś smutno patrzy na nas „Eden". Pod wpływem tego wzroku chciałoby się powtórzyć za poetą:

„Nasze myśli smutkiem zwichrzone
wiatr posplatał
wczorajszą tęsknotą —
Czym jest dla nas
nieświadome spotkanie?
Czy rozłąką —
dalekiego powrotu?"

I MNIE!...

„Wiochna 13" w ten sposób zwraca się do nas:

„Proszę i mnie przyjąć do swego grona, „Rodzinko" — niech i ja mam tę przyjemność nazwać się „Krainianką"!

Ale winnam Wam przecież bliższą prezentację mej osoby. Otóż mieszkam w uroczo położonej wiosce w okolicy Poznania. Wprawdzie brak tu zupełnie towarzystwa, lecz ja się zbytnio nie uskarżam, jako że nudów nie uznaję.

Jestem młodą, szczupłą blondynką o niebieskich oczach, które przeważnie są wesołe i uśmiechnięte. A byłabym jeszcze szczęśliwszą, gdybym w „Rodzince" mogła znaleźć przyjaciółkę, której tu nie mam.

Ponadto wyznaję, że cieszyłabym się bardzo, gdyby i panowie z „Krainy" zechcieli napisać kilka słów do mnie.

Pozdrawiam wszystkich i zasyłam radosne uśmiechy.

POSTE-RESTANTE

„Samotna Myszka" i *„Stęskniona Wala"* proszą o przyjęcie do „Rodzinki" i pytają, czy znajdzie się ktoś taki, co chciałby nawiązać z nimi korespondencję. Jeżeli tak, to proszą miłych Sympatyków „Krainy" o szczere i miłe liściki, na które odpowiedź murowana.

Specjalne pozdrowienia przesyłają:

„Samotna Myszka" dla „Czarnego Charakteru", a „Stęskniona Wala" dla „Samotnego Agronoma".

Adres ich: Tczew, poste - restante (dla „Samotnej Myszki" i „Stęsknionej Wali").

POZDROWIENIA Z CIECHOCINKA

„Uśmiech Lata" zasyła nam miłe pozdrowienia z Ciechocinka.

Bardzo dziękujemy Ci, Miła Ty Moja, za pamięć i życzymy wesołej zabawy. Jak wrócisz do domu, napisz nam obszernie o wszystkim, co widziałaś i przeżyłaś podczas wszystkich dni spędzonych w tym sławnym uzdrowisku. Czekamy — a na razie pozdrawiamy Cię i wołamy beztrosko: „Baw się zdrowo!"

Teczka Wujka Janusza

U PROGU NOWEGO ŻYCIA

Kochanej Wandeczce — brat.

Zagrzmiały dzwony, zagrały organy
Tę pieśń potężną i tę pieśń weselną —
Mówią coś Tobie swoim rozełkaniem,
Coś więcej jeszcze, niż w każdą niedzielę

Palą się świece na boskim ołtarzu,
W półmroku tak jakoś dziwnie migocą
Jakgdyby chciały ci drogę wyzłocić,
Tę nową drogę, co się tu roztacza.

Przysięga... miłość... jedyna... do śmierci,
Wszystko się jakimś snem tobie wydaje,
Nie umiesz mówić, co czuje twe serce,
Że drga miłością, że żyje kochaniem...

— — — — — — — —

Zacznie się teraz nowe, inne życie,
Które prowadzi przez tę nową drogę...

„Te-Em".

PRZYKRO MI...

„Ciemnooka Ira". Przykro mi, lecz oba wierszyki Pani zmuszony byłem odrzucić. Rytm w nich nieszczególny, błędy nawet ortograficzne, a myśl nie na tyle głęboka, aby mogła przeważyć na szali wartości tych maleńkich utworków.

Musi Pani jeszcze dużo pracować i uczyć się, jeżeli chcesz dojść do, już nie powiem perfekcji, a po prostu wprawy w tej dziedzinie.

Winnaś też przejrzć nową ortografię, gdyż piszesz podług starej, a trzeba, abyś jednak przejęła się tą nową!

To wszystko nie przeszkadza, że czuję do Pani, Miła Irko, naprawdę szczerą sympatię, przeciwnie, jest właśnie jej dowodem. Sądzę, że znaną jest Ci sentencja, iż: „Prawdziwy przyjaciel prawdę w oczy mówi" — ja też ją Pani mówię, choć przykro mi bardzo.

Przypuszczam, że nie rozgniewasz się na mnie i nie omieszkasz przysłać mi czasem jakiegoś słówka. Będę czekał na nie cierpliwie.

NIE MOGŁEM...

„Te - Em". Przykro mi, że nie mogłem umieścić Pana wierszyka w poprzednim numerze, ale wina jest po stronie Pana, bo przysłałeś go trochę za późno. Oddałem już w międzyczasie cały materiał do druku.

Teraz umieszczam go z tym, że może nie będzie jeszcze za późno.

Odwiedzić mnie możesz — nawet ucieszę się bardzo.

A wolno mi przy tej okazji zapytać, kiedy wybiera się Pan, Miły „Te - Emie", do Żnina?

Proszę być pewnym, że z przyjemnością pomówię z Panem, gdyż mam dla niego wiele sympatii.

A teraz pozdrawiam i zasyłam serdeczny uścisk dłoni.

Raj kobiet



Mała następczyni tronu angielskiego, księżniczka Elżbieta ze swoim królewskim tatusiem na przejażdżce konnej.

Najdłuższe włosy w Europie

— Przyjrzyj się lepiej, to zobaczysz, że włosy.
— A ja ci mówię, że to kołnierz albo szalik! Ba, ale jakie włosy!...

Rozmowę powyższą prowadzili dwaj studenci, obserwując z zaciekawieniem u przechodzącej ulicą Wspólną młodej kobiety wystający spod palta i wlokący się po ziemi, kawałek olbrzymiego warkocza.

Młoda osóbka, spłoszona zbyt głośnymi uwagami, skryła się do pobliskiej bramy, po czym poprawiwszy sobie zdradziecki warkocz, wybiegła susami Walasiewiczówny na ulicę. Metą szybkiego marszo-biegu okazał się jeden ze skromnych domków na Solcu.

W 10 minut później jesteśmy w schludnym pokoiku panny Hanki K., właścicielki najdłuższego warkocza w Europie. A włosy te są, doprawdy, nadzwyczajne! Imponująca ich długość wynosi 1 m. 75 cm., podczas gdy wzrost panny K. ma wymiar zaledwie 162 cm.

Dzieje tych włosów są doprawdy niezwykłe. Panna K., córka podwarszawskiego młynarza, od lat dziecięcych pragnęła mieć długie włosy i dopiero przypadek dopomógł jej do osiągnięcia upragnionego celu.

Mija już 10 lat, gdy mały braciszek, pragnąc zemścić się za jakąś doznaną od niej krzywdę, podkradł się w nocy i... obciął jej nożyczkami włosy prawie do skóry. Lament w rodzinie panny Hanki był niesłychany, ale później okazało się, że psikus malca wyszedł jej na dobre, bo włosy zaczęły odrastać z ogromną szybkością i rosną w tym tempie aż do chwili obecnej.

Panna K. studiuje grę na fortepianie i jest obecnie jedną z najzdolniejszych uczennic szkoły muzycznej prof. Burkatta.

Największym zmartwieniem 20-letniej panny Hanki jest to, że wszędzie zwraca na siebie ogólną uwagę i niejednokrotnie staje się przedmiotem złośliwych docinków. Najdokuczliwsze okazały się liczne „garsonki".

— Chodzą, chodzą za mną i nie dają mi nigdy spokoju, — użala się panna Hanka. — Słyszę ciągle jakieś szepty i docinki. Jedna z pań z uciętymi włosami wyraziła się nawet, że „niepotrzebnie przyzwyczajam mężczyzn do wielkich wymagań"... Inna znów, zupełnie mi nieznana, rozpaczała że nastaną dla kobiet strzyżonych „złe czasy"... Nie wszystkie jednak kobiety są do mnie źle usposobione, a najwięcej już lubią chodzić ze mną koleżanki, które twierdzą, że stanowię dla nich ze swoimi włosami „świetne tło".

— Gorsi są jeszcze od kobiet mężczyźni. Słyszę co chwila zaczepki, docinki, albo prośby o „jeden włos na pamiątkę". Największe cierpię przebywając w dzielnicy północnej. Tu zawsze każdy pyta się mnie jaki środek zalecam na porost włosów, co jem, jak śpię i czym się myję? Ilekroć spotkam sztubaków, to zaraz krzyczą: „Dajcie nożyczki" albo „proszę o jeden włos „na wędkę"...

Największe zmartwienie ma panna Hanka z codzienną toaletą.

Wstaję codziennie o godz. 5 rano i całe dwie godziny poświęcam wyłącznie pielęgnacji włosów. Mycie, płokanie, czesanie, wygładzanie i splatanie warkoczy, to praca dość ciężka, a jednak bardzo dla mnie przyjemna.

Do fryzjera nie chodzę prawie nigdy, ale fryzjerzy niejednokrotnie napastują mnie, dopytując się o stosowane przeze mnie środki na porost włosów. Jeden z fryzjerów przez całe trzy miesiące nie odstępował ode mnie. A potem z zemsty czyhał na mnie przez tydzień pod bramą z brzytwą, chcąc mi obciąć warkocze. Na szczęście zamiar mu się nie udał, a ja mam odtąd dobrą nauczkę i noszę zawsze warkocze z przodu, by nie być narażoną na utratę mej największej ozdoby.

— W ogóle muszę panu przyznać, że gdybym straciła swoje warkocze, to bym się chyba z rozpaczy... utopiła.

Na myśl o tej możliwości, właścicielka najpiękniejszych warkoczy w Europie zasmuciła się na dobre i zatopiła główkę w „spienionych falach" swych przecudnych kasztanowatych włosów.

Najpiękniejsze Amerykanki

Wiadomo, że najpiękniejsze Amerykanki można spotkać w słynnej trupie Ziegfelda w New Yorku. Ideał piękności ustalony przez Ziegfeld-girls jest miarodajny dla całej Ameryki. Harry Kaufmann nazywa się ten człowiek, o którego względy ubiegają się najpiękniejsze kobiety, ma on bowiem powierzone angażowanie kandydatek do tej trupy.

W tym roku zgłosiło się 500 dziewcząt, z których wybrano 60. Obecnie Ziegfeld-girls muszą być pełniejsze, niż ich poprzedniczki, bliższe Mae West niż Marleny Dietrich. Jest to wielka szansa życiowa należeć do trupy Ziegfeld. O względy ich bowiem ubiegają się milionerzy i książęta. Niejedna z nich została już żoną jakiegoś amerykańskiego lub egzotycznego Krezusa.

Świat i życie

Ryby żyjące bez wody

Spoglądając na szczupaka, pstrąga, czy jakąkolwiek inną rybę rzeczną lub morską, oceniamy całą trafność popularnego powiedzenia: „czuję się jak ryba we wodzie". Faktycznie bowiem cała budowa anatomiczna ryby, wydłużone ciało, płetwy, ogon, świadczą o znakomitym przystosowaniu się do życia w tym jej żywiole.

Ma to jednak i swoje złe strony. Znaną powszechnie jest rzeczą, iż np. śledź zdycha prawie natychmiast po wyciągnięciu go z wody. Zdycha z uduszenia, skutkiem zaschnięcia lub zaklejenia się skrzeli, zapomocą których oddycha w wodzie.

Gdyby wszystkie gatunki ryb były równie wrażliwe na działanie powietrza jak śledź, nie mogłyby one żyć w strumieniach, rzekach i mniejszych zbiornikach wody, podlegających okresowo wyschnięciu, — co jest zjawiskiem powszednim w krajach tropikalnych. A przecież we wszystkich podobnych zbiornikach żyją stale pewne gatunki ryb.

Czym to wytłumaczyć? Oto istnieją pewne gatunki ryb, zdolne żyć nie tylko w swoim właściwym żywiole, — ale przejściowo również i na lądzie.

Klasycznym, najbardziej znanym przykładem w tym względzie są młodsze węgorze, które w czasie swej wędrówki w górę rzek niejednokrotnie wydostają się na brzeg i zdążają do odległych jezior lub stawów. Mogą sobie pozwolić na podobne eskapady dzięki temu, że skrzela ich zatrzymują przez dłuższy czas pewną ilość wody, a więc utrzymują się w stanie wilgoci, umożliwiającej im oddychanie.

Znacznie lepiej pod tym względem wyposażona jest przez naturę ryba — skoczek, zwana Periophtalmus Koelreuterii, żyjąca na zachodnim wybrzeżu Afryki.

Ryba ta, długości 5—8 ctm., potrafi dowolnie zmieniać barwę, podobnie jak kameleon, przystosowując ją do otoczenia. Wygląda dość niesamowicie: brunatna, srebrno nakrapiana, płetwy błękitne, duże wyłupiaste oczy o czerwonawym zabarwieniu. Co więcej, pletwy przednie, rozwinięte silnie, przypominają raczej nogi i mogą służyć do poruszania się na lądzie, chodzenia, skoków, a nawet wspinania się.

Płetwy te przystosowane są też do oddychania na lądzie, tak, że nie rzadko ujrzeć można te osobliwe ryby, wylegające się na wilgotnym piasku lub niezgrabnie skaczące w pogoni za zdobyczą.

Znakomicie przystosowaną do takiego „podwójnego życia" jest żyjąca w stawach i rzekach Austrii ryba zwana przez krajowców „barramundą" (Ceratodus Forsterii), dochodząca do 2 mtr długości. W okresie periodycznej posuchy ryba ta, zagrzebana w mule, zdoła żyć przez kilka miesięcy nawet bez wody. Funkcje oddychania spełnia u niej wówczas ów „pęcherz", stanowiący normalnie rodzaj balonu, z pomocą, którego ryba (kurcząc go lub rozszerzając) utrzymuje się w wodzie w dowolnej głębokości. Pęcherz ten zastępuje rybie w zupełności płuca.

Potężnie zaś rozwinięte płetwy przednie i tylne umożliwiają rybie pełzanie po stałym lądzie.

To samo obserwować możemy wreszcie u żyjącej w Indiach ryby „Anabas scandens", u której oddychanie za pomocą skrzeli samych absolutnie nie wystarcza do utrzymania się życiu. Musi ona co pewien czas podpłynąć na powierzchnię wody, celem zaczerpnięcia powietrza, — a jeśli jej to uniemożliwimy (zakładając np. w akwarium siatkę na kilka ctm. pod powierzchnią wody) — ryba poprostu zdycha. Jedyny to chyba wypadek, iż ryba „tonie" we... wodzie!

Ryby te, jak udowodniły obserwacje, często wychodzą same z wody i odbywają długie, nawet parodniowe wędrówki.

Kilka tych przykładów dowodzi, jak przedziwnie postarała się natura o zaopatrzenie pewnych odmian ryb do życia na lądzie w zmienionych warunkach bytu. Nie każda zatem ryba czuje się we wodzie jak w swoim żywiole...

Pustelnicy, romantyczni robotnicy i wykształceni „kubikusze"

Ekspres przebiega wielką niziną węgierską. Podróżni stojąc przy oknach, spoglądają z podziwem na krajobraz, roztaczający się przed ich oczyma. Faluje na tej niezmiernej płaszczyźnie morze kłosów, ubarwione czerwonymi plamami maków. Teraz i na wiosnę, przestrzeń ta jest prawie pusta; lekki zapach ziół i seledynowa barwa traw, stwarzają inny urok. Grupki drzew, otaczające gdzieś na horyzoncie wielką nizinę, strzegą cichego nastroju. Małe domki o białych ścianach, wynurzają się, jak lśniące skały, z powierzchni zielonkawego morza. Gdzieniegdzie zdala od ludzi stoi samotna chatynka. To mieszkanie pustelnika, żyjącego jakgdyby poza nawiasem społeczeństwa. Z ziemią wiąże go tylko praca, dusza jednoczy się w ogólnej harmonii z przyrodą.

Ten kraj spokojny o jednostajnym obliczu, zdawałoby się, — zawsze tak wyglądał. Sto lat temu jednak — było tu zupełnie inaczej. Przecinająca nizinę rzeka Tisza, obecnie uregulowana, stanowiła wówczas jedną z niebezpiecznych, niszczących sił natury. Co roku na wiosnę występowała ze swego koryta, tworząc niedostępne wysepki, otoczone wirami wodnymi. Tam właśnie kryli się ci, którzy mieli powody do ucieczki przed światem.

W ubiegłym stuleciu groźne szajki bandyckie hulały po tej cichej pustce, a atmosfera tajemniczości zawsze im towarzysząca, otaczała legendą postać ich wodza Sandora Rózsa'y. Do dziś żyje on w pieśniach i opowiadaniach ludu.

Otoczony bandą swoich zuchów, zmusił pewnego razu do ucieczki eskortę żołnierzy, towarzyszącą transportowi rządowych pieniędzy i zawładnął skarbem, mimo, że działo się to przed samymi wrotami obronnego zamku Szeged.

Policja była wobec niego bezsilna; niemożliwością było dotrzeć do jego kryjówki niedostępnymi ścieżkami. Ludność miejscowa nie tylko mu sprzyjała, lecz otaczała go zawsze wdzięczną opieką; nawet najpiękniejsze wieśniaczki nie wahały się ukrywać u siebie „szlachetnych rozbójników".

Po dwu latach samowładztwa rozbójników, rząd wysłał na nizinę węgierską komisarza policji księcia Raday'a. Tysiącznymi wybiegami i umiejętną perswazją zjednał sobie zaufanie bandytów i mianował ich..., żandarmami, polecając ich opiece, zwłaszcza

owe, tylko im znane kryjówki. Było to jedyne wyjście z sytuacji.

W r. 1848, w czasie walki o niepodległość, Sandor Rózsa utworzył ze swych ludzi „wolny oddział”, który odznaczył się tak niezwykłym męstwem, iż rząd ustanowił powszechną amnestię dla wszystkich „byłych” bandytów.

Dom Sandora Rózsa'y, zamieszkiwany przez jego potomków, do dziś dnia jest otaczany czcią miejscowej ludności.

Obecnie na nizinie węgierskiej nie ma już romantycznych bandytów... Zamieszkuje ją jednak kasta ludzi nieznana gdzieindziej. Są to robotnicy ziemni, posiadający swój specjalny system wykonywania robót ziemnych, dopiero teraz stosowany w Europie. „Kubikusze” nazywani tak od kostek sześciennych, których używają do budowy wałów, dróg, tam itp. Kubikusze już przed wojną byli poszukiwani w Europie i Ameryce, i cieszyli się sławą najlepszych pracowników ziemnych. Wyróżniają się nie tylko niezwykłą siłą i wytrzymałością na trudy, ale i dokładną znajomością strony technicznej swej pracy. Wiedza ich pochodzi z czasów bardzo odległych i przekazywaną jest z pokolenia na pokolenie.

Ze świata

Muzeum fordowskie

W pobliżu zakładów Forda w Dearborn w stanie Michigan istnieje muzeum postępu i techniki, zbudowane za pieniądze wielkiego przemysłowca. Muzeum zajmuje przestrzeń 32.500 metrów kwadratowych. Fronton gmachu jest kopią trzech amerykańskich budowli historycznych, pałacu niepodległości, ratusza w Filadelfii i gmachu kongresu. Trzy zupełnie odrębne style potrafiono tak sharmonizować, że tworzą one wspaniałą, monumentalną całość.

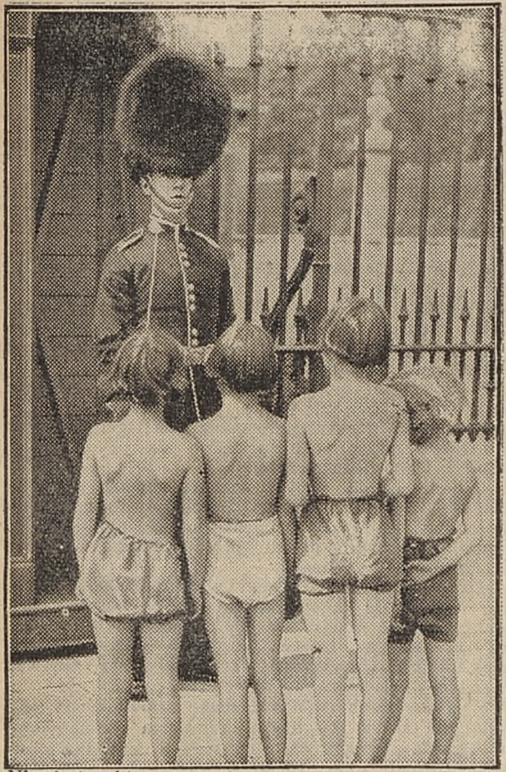
W muzeum fordowskim można śledzić, dzięki umiejętnie dobranym eksponatom, wykresom, ilustracjom, rozwój rolnictwa, przemysłu i transportów od czasów przedhistorycznych do chwili ostatniej. Osobny dział od prymitywnej sochy do nowoczesnego traktora. przeznaczono dla instrumentów i narzędzi rolniczych, W innym dziale muzeum podziwiać można kolekcję lokomotyw i pociągów od najpierwotniejszego ich typu do ostatnich modeli.

Ilość samolotów, zgromadzonych przez muzeum Forda, wystarczyłaby dla stworzenia floty powietrznej małego pońStewka. W muzeum imienia Henryka Forda nie mogło oczywiście zabraknąć samochodów. Podziwiać tam można w osobnym pawilonie pierwsze wozy daimlerowskie, konstrukcją mało różniące się od zwykłych kabrioletów, oraz ostatni model luksusowego Forda, noszącego seryjny numer 25 milionów.

W parku. otaczającym muzeum, podziwiać można szereg gmachów historycznych, zakupionych przez Forda w różnych częściach kraju, przeniesionych do Dearborn i skopiowanych z idealną wiernością. Znajduje się tam sala trybunału stanu Illinois, w którym późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych, Abraham Lincoln, wygłosił swą pierwszą mowę adwokacką.

Osobny pawilon poświęcony jest wynalazkom Edisona, dla którego Ford żywi prawdziwy kult. Przed 41 laty, gdy Ford był jeszcze biednym początkującym przemysłowcem, Edison zachęcał go do wytrwania na tej drodze. W pawilonie Edisona oglądać można zrekonstruowane ze wszystkimi szczegółami pierwsze laboratorium wielkiego wynalazcy, zainstalowane w Menlo Park (New Jersey). Naprzeciwko laboratorium znajduje się odbudowany ze wszystkimi szczegółami pensjonat, w którym młody Edison mieszkał. Ford posunął swój kult dla Edisona do tego stopnia, że dużym nakładem pracy i pieniędzy zdołał odtworzyć wszystkie etapy twórczej pracy wynalazcy. W poszczególnych salach pawilonu zgromadzono nie tylko przedmioty, z którymi stykał się Edison, ale nawet ziemię i rośliny z Menlo Park oraz z Ford Myers na Florydzie, gdzie znajdowało się ostatnie laboratorium Edisona.

Za parkiem muzealnym ciągnie się rozległy teren, przeznaczony dla robotników i pracowników, zatrudnionych w zakładach „króla samochodów” amerykańskich.



Nie jest tobie za gorąco — z żywym współczuciem pytają tego ogromnego gwardzisty cztery miłe bąki londyńskie.

JAN FELIKS PŁÓCIENNIK

Życie

(Nowelka)

— Wszyscy śpią.

Feliks cichaczem wychodzi z łóżka — tak, aby nikogo nie zbudzić. Zapala światło, rozkłada papier nutowy i pisze.

Oczy jego błyszczą jakąś radością. Usta ma białe — spieczone gorączką.

Szybko zapełnił nutami dwa wielkie arkusze. Po tym przejrzał raz jeszcze, pomyślał i dał u góry napis: „Życie”.

Naraz ocknęła się matka. Siadła na łóżku. Twarz jej zbladła okropnie i prawie krzyknęła: Boże! — Felku, co ty robisz! Połóż się natychmiast, masz gorączkę!

— Już koniec, mamulku. Przepraszam cię bardzo i proszę nie mów mi nic. Idę spać i nie będę cię już nigdy gniewać. Skończyłem bowiem już mój utwór „Życie“...

* * *

Feliks Jacek był sympatykiem koła mandolinistów „Echo“ w Poznaniu.

Jacek marzył o sławie. Chciał być kompozytorem — artystą... Skrzypki w rękach jego płakały. Miał talent, lecz nie miał zdrowia. Był pięknym i młodym, lecz wiedział o tym, że długo żyć nie będzie. Pragnieniem jednak jego była sława, choćby po śmierci. Nie dbał o życie, dbał tylko o sławę.

Dwa jego niezłe utwory, ćwiczono już w Kole. Ostatni, trzeci jego utwór p. t. „Życie“, podziwiali wszyscy członkowie i nawet profesorowie - kompozytorzy.

Utwór Jacka został umieszczony w programie radiowym.

* * *

Młody utalentowany kompozytor, Feliks Jacek, zapadł na zdrowiu poważnie. Tygodnie, a nawet dni i godziny jego były policzone. Matka gorąco prosiła Boga o zdrowie dla syna.

Zegar wskazywał godzinę 7 wieczór. Jacek otworzył szeroko oczy, spojrzał na matkę i rzekł cicho:

— Mamo, nastaw radio, proszę cię bardzo o to! Za pięć minut usłyszysz mnie, a raczej mój utwór. Koło Mandolinistów „Echo“ wystąpi dziś w rozgłośni na całą Polskę! Za chwilę ziści się moje marzenie! Będę sławnym!...

Matka wysłuchała prośby syna.

Halo! halo! Teraz grać będzie zespół Koła Mandolinistów „Echo“ w Poznaniu pod batutą p. Feliksa Kapały — na wszystkie rozgłośnie Polski.

Chwile szybko mijały.

— Felku — odezwała się matka.

Felek nie słyszał głosu swej matki, był zasłuchany w cudne dźwięki, co płynęły z polerowanej skrzynki aparatu radiowego.

Naraz usłyszał słowa, których oczekiwał tak długo z ogromnym naprężeniem.

„Na zakończenie odegra zespół „Echo“ utwór „Życie“ — Feliksa Jacka“.

Jackowi krew uderzyła do głowy. Oczy błyszczały radością, zdawał się być najszczęśliwszym człowiekiem na świecie...

Mandoliniści grali świetnie.

Za chwilę kończą. Słychać ostatnie akordy.

Matka zwróciła oczy na syna. Na twarzy Feliksa igrał uśmiech triumfu.

— Audycja skończona...

Jacek głęboko westchnął. Podniósł się lekko i usiadł. Matka ucałowała go.

— Tak, mamo, marzenie ziściło się. — Po chwili dodał: — Nie martw się i nie płacz, gdy umrę. Wszak ja umieram szczęśliwy.

Matka wyszła z pokoju, aby ukryć łzy. Gdy wróciła — już nie żył.

Na ustach jego zamarł uśmiech odniesionego triumfu.

CHWILA ZASTANOWIENIA

ROZSYPANKA SYLABWA

pod. Mira Tomaszewska

Wą — ryt — don — świst — mia — nizm — i — no — ma — ka — man — ce — rys — ce — i — dion — den — gan — cy — pe — fon — mie — wi — mi — e rek — bat — sej — cja — i — te — ha — ga — ra — za — ce — a — li gro — wil — ko — Yo — le — zja — be — o — e — dan — po — sek — o — wóz — ry — e — se — e — to — wa jor — ro — ja.

Z powyższych sylab utworzyć kolumnę, złożoną z 21 wyrazów, których początkowe litery, czytane pionowo, dadzą rozwiązanie.

Wyrazy pomocnicze: 1) Wyroby z fajansu i gliny. 2) Wczesne kwiaty wiosenne. 3) Miasto w Japonii. 4) Przesyłanie obrazów za pomocą nowowynalezionej techniki. 5) Dział rolnictwa. 6) Wyspa azjatycka — archipelag malajski. 7) Bezżeństwo. 8) Nazwa kwiatu. 9) In. raj. 10) Tuba wzmacniająca głos. 11) Staropolski taniec. 12) 12) Rzeka znana z biblii. 13) Człowiek lubujący się w miłostkach. 14) Bóg grecki. 15) Określenie niemowlęcia w socjologii i prawie. 16) Wąskie przejście pomiędzy górami. 17) Tytuł dzieła Zygmunta Krasińskiego. 18) Szyk w ubieraniu się. 19) Ostry gwizd wiatru. 20) Drwiące ustosunkowanie się do zjawisk życia. 21) Nazwa gazu trującego.

BILETY WIZYTOWE

ul. M. G.

Eli Minor

Sław Dywła

Emir Kaziz

Czy właścicielami biletów są kobiety, czy mężczyźni?

Za rozwiązanie powyższych zadań Redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do środy, 25 sierpnia br.

Rozwiązanie zadań z numeru 32 „Moich Powieści“: Łamigłówka matematyczna:

```
       2 3 4 5 6
     × 4 7 6 1
     ---------
       2 3 4 5 6
   1 4 0 7 3 6
 1 6 4 1 9 2
 9 3 8 2 4
-----------------
1 1 1.6 7 4.0 1 6
```

Bilety wizytowe: 1) Biała Niezapominajka. 2) Podszamotulanka. 3) Spragnione serce.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Ferzyk Stanisław — Żnin, Migulski Roman — Łódź Dębski Zygmunt — Poznań, Mański Jan — Toruń i Graczyk Wacław — Warszawa.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Migulskiemu z Łodzi i Mańskiemu z Torunia.



Jak już wiadomo — w Kairze odbyła się niedawno koronacja Faruka I. Na zdjęciu panie egipskie (w środku żona premiera Nahas Paszy) udają się na uroczystość złożenia przez króla przysięgi na konstytucję.

nie będzie się zajmował jej pieniężnymi sprawami.

To jego oświadczenie spowodowało nowy wybuch łez u pani Inez.

Bardzo wymownie prosiła go i zaklinała, żeby ją tak surowo nie karał, że to będzie dowodem jego miłości, jeżeli zatrzyma zarząd majątku, i przebaczenia, jeżeli spełni jej prośbę.

Nie od razu i ociągając się bardzo, przystał nareszcie Tulliwer, oświadczając z wielkim patosem, że ta jego słabość, z którą ulega, może być dla niej najlepszym dowodem, jak ją kocha!

Wreszcie pocałował ją w czoło, nie dawszy tych pieniędzy, które wywołały całą tę burzę.

Trzeba było dłuższego czasu, żeby pani Tulliwer się uspokoiła.

W głębi serca nie była przekonana o tym, że nie miała racji, a jeszcze bardziej była zła na siebie, że ostatecznie pieniędzy jak nie miała, tak nie ma.

Spodziewała się jeszcze, że Tulliwer nazajutrz naprawi to zło i da jej jakąś sumę, ale James widocznie zupełnie zapomniał, a ona nie miała odwagi przypominać obrażliwemu małżonkowi.

W ambasadzie zwróciła się do siostry, której jednak nie wyznała całej prawdy. Pod zmyślonym pozorem prosiła siostrę, żeby jej pożyczyła trochę pieniędzy.

Fides zmieszała się i pokazawszy siostrze banknot 50-ciofrankowy, rzekła:

— To jest mój cały majątek!

— Jak to? — zapytała Inez zdumiona — przecież to wystarczy ci zaledwie na jeden dzień?

Zamiast odpowiedzieć, Fides zaczęła płakać.

— Prosiłam go — rzekła wreszcie — i on mi dał tylko tyle. Pieniądze moje złożył u bankiera w Anglii i sam jest w kłopotach.

— Więc czegóż płaczesz? — zapytała miss Tulliwer zła, gdyż zazdrościła siostrze, że jej sprawa pieniężna z mężem, poszła widocznie tak gładko.

— Dlaczego? — zapytała — dobrze ci mówić! Żebyś była słyszała, jak się Wilfred zaraz zaczął irytować, gdym mu o pieniądzach wspomniała. Wyrzucał mi moją rozrzutność i chęć strojenia się, i stawiał mi za przykład swoje siostry, które więcej dystyngowane niż ja, a muszą być o wiele skromniejsze.

A co mnie najbardziej złościło, to to, że robił jakieś aluzje, że ja żadnymi strojami nie zrobię się młodszą ani ładniejszą. Nie mam odwagi mówić mu o pieniądzach, bo się boję, że mi znów zrobi taką scenę. Poproś ty męża o pieniądze, to jedyna droga dla nas!

Nie pozostawało Inez nic innego, jak zwierzyć się siostrze ze swoich zmartwień i obie zalewały się gorzkimi łzami.

Nie wiedziały co mają począć. Nie chciały nawet pisać do rodziców, na których same nalegały, aby posagi oddali mężom.

Poszły się przejść. Nagle zobaczyły na ulicy jakiegoś rudego pana, typu niezaprzeczenie angielskiego.

Pan ten przypatrywał im się przez chwilę, potem poznał je i zbliżył się.

Był to kuzynek Bob, inaczej pan Robert Snob, zwyczajny agent handlowy, na którego one w Londynie patrzyły bardzo z góry.

Tu jednak, w położeniu w jakim były, stały się dla niego uprzejme, co jemu bardzo schlebiało. Patrzył on na bogatsze kuzynki zawsze z pewnym szacunkiem i byłby chętnie z którąś z nich się ożenił, gdyby go były chciały.

Lecz dla nich on był za mało wielkim panem, a w jego oczach ich dostojny ożenek jeszcze więcej je podnosił.

— Jesteście w podróży poślubnej? — zapytał po przywitaniu.

— Tak jest — odpowiedziała Inez i dodała nader uprzejmie:

Żałowałyśmy bardzo, żeś nie mógł być na naszym ślubie; ale wiesz, żeśmy brały ślub w Rzymie, a któżby dla nas aż do Rzymu się trudził!

— Ja byłbym przyjechał — odpowiedział poczciwy Bob — gdybyście mnie były zaprosiły. A gdzie wasi mężowie? Chciałbym poznać moich nowych kuzynów.

— Zaproszeni na polowanie — odpowiedziała Inez, trącając nieznacznie swą siostrę — jesteśmy same na parę dni.

— Szkoda! — zawołał Bob, który wierzył temu wszystkiemu. — Ale powiedz mi moja kochana, słyszałem od twego ojca, że twój mąż jest synem księcia Sommersetshire. Który to jest?

— Jest tylko jeden książę Sommersetshire — odpowiedziała dumnie Inez.

— Ale ten nie ma synów! — dziwił się Bob — tylko córki.

— A więc musi ich być dwóch — odpowiedziała Inez — mój teść był u nas. Widziałam go; bardzo ujmujący pan.

Bob nie miał odwagi dalej się wypytywać i zaprosił je na ucztę do restauracji.

Kiedy one po pewnym namyśle przyjęły zaproszenie, siadł z nimi do dorożki i dumny, że jedzie z tak bogatymi kuzynkami, zawiózł je do eleganckiej restauracji.

Po szerokich, dywanem wyłożonych schodach zaprowadził je do osobnego gabinetu, skąd, przeprosiwszy, poszedł zamówić ucztę.

Niewiasty zostały same i rozglądały się po przepysznie urządzonym gabinecie.

Inez chciała właśnie zrobić uwagę na ten temat jaki to zaszczyt dla Boba, że one przyjęły jego zaproszenie, gdy wtem za ścianą ozwały się kroki i głosy.

Inez nastawiła długie uszy, zbladła jak ściana, a w następnej chwili chwyciła za rękę Fides.

— Słuchaj! — szepnęła jej.

Fides zaczęła także nasłuchiwać i zbladła również straszliwie.

W przyległym pokoju słychać było najwyraźniej głosy Tulliwera i Wakera zmieszane z głosami niewieścimi.

Inez zbliżyła się do ściany i odsunęła draperię, którą była udekorowana. Za draperią była ściana tapetowa, a w ścianie szpara, przez którą mogła zaglądnąć.

Na kanapie rozwalił się niedbale Tulliwer, obejmując ręką kibić jakiejś młodej, przystojnej dziewczyny, której naróżowana twarz i podmalowane oczy wskazywały najwyraźniej, jakiego rodzaju to jest niewiasta.

Podczas gdy Waker z drugą taką samą przy samych drzwiach dawał kelnerowi

Pomógł im się ubrać i sprowadził na dół do doróżki.

One nasunęły welony i wykradły się z hotelu, jak gdyby coś złego popełniły.

Gdy wsiadły do doróżki, prosiła go jeszcze Inez prawie pokornie:

— Nie gniewaj się na nas, Bob.

Bob wzruszony był tą uprzejmością i wzruszenie to znikło dopiero, gdy zaczął zjadać chciwie przysmaki zamówione na 3 osoby.

Gdy Inez i Fides zostały same, padły zrozpaczone na poduszki powozu.

A więc tak wyglądało to wymarzone szczęście małżeńskie'

Oszukiwano je haniebnie, wyśmiewano, brutalnie się z nimi obchodzono i zaniedbywano je, a niewiasty z półświatka obsypywano czułościami i podarunkami. Tacy byli ci mężowie.

Takie były owe wymarzone przyjemności ich podróży poślubnej.

I tak wyglądał początek ich małżeńskiego pożycia.

Gorącymi łzami zalewały się obie siostry na samą myśl o swej nieszczęsnej doli i tęskniły do owych czasów, gdy jeszcze były z rodzicami, którzy spełniali ich najdrobniejsze życzenia.

Minęły owe najszczęśliwsze czasy i nigdy już nie wrócą!



Czasem maleńka wieśniaczka staje się ważną osobistością. Np. gdy z ogromną powagą wskazuje drogę pięknej pani z auta.

dyspozycje co do menu, Tulliwer flirtował na kanapie ze swoją towarzyszką.

— Cóż Tifi? — pytał, gładząc ją czule po włosach — jak ci się podoba bransoletka, którą dostałaś ode mnie.

Dziewczyna zaczęła kręcić na ręce bransoletkę, którą chciwe oczy Inez otaksowały na kilkaset funtów, i odpowiedziała rozpieszczonym głosem:

— Wiesz co, stary? Bransoletka byłaby niebrzydka, ale gdzie jest kolia stosowna do tego, ty skąpcze jakiś!

— Dostaniesz, dostaniesz — uspokajał ją Tulliwer, ale teraz mnie pocałuj! To prawdziwe dobrodziejstwo dostać całusa z tak młodych ust. Prawda, Waker?

Waker zbliżył się ze swoją wybranką i potakiwał gorliwie.

— Żebyś wiedział, u licha, że dać się pieścić takiej zasuszonej, szpiczastej, starej pannie, to więcej niż człowiek znieść może.

Zatrząsł się przy tym na znak wstrętu, a dziewczęta śmiały się do rozpuku.

— Przyznajcie się! — zawołała Tifi wesoło — to są za cenne niewiasty, którymi się tak chwalicie. Tak jak mi je opisujecie, wzbudzają zazdrość we mnie.

— Masz rację! — odpowiedział Waker tonem który u dziewcząt znowu wywołał salwę śmiechu — siądź mi kolana, Koro!

Kora z chęcią uczyniła zadość zaproszeniu, siadła Wakerowi na kolana, zarzuciła mu ramiona na szyję i pieściła go czule.

W tej chwili odeszła Inez od szpary przy której nadsłuchiwała i dała znak swej siostrze, która siedząc na krześle pół omdlała, miała też zupełną świadomość tego, co się za ścianą dzieje.

Drżąc na całym ciele zbliżyła się pani Waker do otworu w tapecie i zobaczyła swego męża pieszczącego się z jakąś młodą, tęgą osóbką.

Więc on umiał być czułym i gorącym! Tylko wobec niej otaczał się chłodem i zniechęceniem!

— Widzisz jaką śliczną bransoletkę dostała Tifi — rzekła Kora tonem wyrzutu — i kolię jeszcze dostanie a ty mnie zawsze zbywasz niczym!

— Czy ci nie dałem wczoraj 1000 franków — bronił się Waker — i więcej jeszcze dostaniesz, , tylko się nie dąsaj!

To rzekłszy wyjął portfel i wręczył Korze sporą paczkę banknotów, którą ona porwała chciwie.

— Dziękuję ci — rzekła od niechcenia i zaczęła jeden banknocik po drugim wsuwać za gors.

Teraz rozmowa stała się ogólna i obie pary żartowały i bawiły się w najlepsze.

A za ścianą obie oszukane kobiety rozpaczały nad smutnym odkryciem, które tak przypadkowo zrobiły.

Z nad wyraz rozjaśnioną twarzą wrócił nareszcie Bob i przepraszał, że tak długo pozwolił czekać na siebie.

— Ale ta uczta będzie nader wspaniała — dokończył.

Zdziwił się jednak niemało, gdy Inez słabym głosem przemówiła:

— Kochany, mój kuzynie, nie gniewaj się na mnie, ale nie mogę skorzystać z twego tak uprzejmego zaproszenia, gdyż czuję się mocno chorą i muszę jechać do domu.

— Co? — zawołał Bob niezmiernie odmową dotknięty — chcesz odejść teraz, kiedym już wszystko zamówił?

Zaledwie jednak rzucił okiem na bladą twarz swojej kuzynki i na głęboko zapadłe jej oczy, żal mu się jej zrobiło.

— Musisz być naprawdę chorą — rzekł ze szczerym współczuciem — i nie mogę cię zatrzymywać dłużej, mimo iż żal mi, że nie będziesz brała udziału w naszej zabawie. Ale Fides może przecież ze mną zostać?

— Muszę odprowadzić swoją siostrę — rzekła pani Fides, bezdźwięcznym głosem — wygląda ona tak okropnie, że nie mogłabym dać jej samej jechać.

— Mój Boże, jak ty wyglądasz — zwrócił się Bob przestraszony do młodszej kuzynki, na którą teraz patrzył — może jesteś chora?

— Tak jest — odpowiedziała pani Tuliwer — nie jestem zupełnie zdrowa, nie zatrzymuj też nas dłużej, kochany Bobie.

— Ogromnie mi przykro — zawołał dobroduszny Bob — ale, skoro nie chcecie... Tylko, że ja sam wszystko będę musiał zjeść.

ROZDZIAŁ CLXXII.

Zniknięcie

Teobald działał w myśl dokładnie obmyślonego planu.

Skoro opuścił markiza de Lorme, poszedł w kierunku Marii Śnieżnej i ułożył sobie dla mieszkańców wsi następującą bajkę:

— Ten obcy pan, który jest malarzem, życzył sobie bardzo dotrzeć do wnętrza gór, aby sobie zapamiętać cudowny widok śnieżnych wierzchołków. Ja uległem jego usilnym prośbom i postanowiliśmy ujść porządny kawałek. Ponieważ byłem tutaj przed 4-ma laty przez całe lato na studiach, zdawało mi się, że znam dość dobrze tę okolicę i nie potrzebuję przewodnika. Skoro jednak uszliśmy kawałek drogi, zauważyłem, że ufałem sobie zanadto, bo zabłądziłem. Towarzysz mój mniej silny niż ja i nieprzyzwyczajony do chodzenia po górach, zmęczył się bardzo i upadł. Idźcie, proszę i szukajcie go tam, bo ja jestem taki zziębnięty, że się ruszyć nie mogę.

— Ludzie nie będą się tak bardzo wypytywać — myślał dalej — bo pospieszą na miejsce wypadku, a markiza znajdą naturalnie dawno zmarzniętego. Tym lepiej, Ida wtedy będzie spadkobierczynią jego milionów. Skoro ją tylko znajdę, dam na zapowiedzi. W trzy tygodnie później będzie nasz ślub. Gdy Ida będzie moją żoną, opowiem jej o markizie, że uczynił ją spadkobierczynią swoich skarbów i wtedy będzie mogła płakać za nim łzami wdzięczności. Warto dać kilka łez za parę milionów.

Żadna jego myśl nie użaliła się tym, którego zwabił w ramiona śmierci; ani śladu żalu i skruchy nie było w jego duszy. Gratulował sobie zysków i zadowolony był z wyrafinowania, z którym się zabrał do dzieła.

Ale nawet i najmądrzejsi ludzie mogą nieraz popełnić grube błędy, czego najlepszym dowodem był Teobald.

Podczas, gdy bowiem tak się oddawał swym myślom, zapomniał zważać na drogę i wskutek tego zabłądził.

Minął długi czas, zanim się spostrzegł, że idzie Pan Bóg wie gdzie. Wtedy dopiero przestraszył się okropnie.

— Boże mój — zawołał zrozpaczony — czy ja tu mam z kolei zamarznąć?! To byłoby straszne, okropne — jęczał.

O ile z nadzwyczaj zimną krwią patrzył na niezawodną śmierć markiza, której winę ponosił, o tyle teraz, kiedy jemu samemu groziła śmierć, trwoga jego nie znała granic.

Krzyczał głośno w nadziei, że go ludzie usłyszą, kilka razy strzelał z rewolweru, aby hukiem strzałów sprowadzić pomoc.

Nikt się jednak nie odzywał, tylko ptak drapieżny bujał w przestworzu.

— Ach, on czuje żer — pomyślał sobie śmiertelnie przestraszony Teobald. — Skoro już nie będę mógł się bronić, spadnie na mnie z góry i rozedrze mnie w kawałki.

Myśl ta doprowadzała go formalnie do szaleństwa. Strzelał do tego drapieżnego ptaka z rewolweru, chociaż on latał wysoko, że kula rewolwerowa byłaby go nie dosięgła.

Jęcząc i płacząc załadował na nowo rewolwer i szedł dalej.

Znajdował się w zupełnie nieznanej sobie okolicy. Nagle zobaczył przed sobą pieczarę, osłoniętą krzewami.

— Muszę się tu schronić od wiatru — pomyślał i odsunął krzaki, by wejść do wnętrza pieczary.

Gdy oczy jego przyzwyczaiły się do ciemności, krzyknął uradowany. Zobaczył bowiem wielki stos nagromadzonego tam chrustu.

Wyciągnął zapałki i zapalił. Dym napełnił pieczarę, ale on nie zważał na to, tylko z uczuciem błogiej radości grzał zmarznięte ręce i nogi.

Oparła się jednak pokusie, żeby się położyć przy ogniu, wiedział bowiem dobrze, że zasnąłby po kilku minutach, a ponieważ ogień wnet wygaśnie, więc zamarzłby na wieki.

Wypił resztę koniaku, siedział jak długo ogień się palił i wyszedł na powietrze.

— Teraz jestem zupełnie[illegible]vagę! Bez — pomyślał sobie — i będę m[illegible]przeć zimnu.

Z nową nadzieją i świeżymi siłami, próbował odnaleźć kierunek do Marii Śnieżnej. Przez chwilę zdawało mu się że jest na dobrej drodze, wnet, jednak zobaczył, że jest to złudzenie.

Nie znajdował się na drodze do Marii Śnieżnej, tylko błądził bez planu. Na domiar złego zerwała się śnieżyca.

Duże, białe płaty śniegu spadały na ziemię i obsypywały wędrowca tak, że od czasu do czasu musiał stawać i strzepywać śnieg z siebie.

Z każdym krokiem zapadał coraz głębiej i głębiej w ten biały i błyszczący płaszcz, który zima zarzucała ziemi na plecy: coraz częściej padał na ziemię, coraz cięzej było mu wstawać, ale z całym wysiłkiem woli zrywał się znowu i walczył rozpaczliwie o życie.

Wciąż musiał ścierać śnieg z okularów, żeby mógł patrzeć przed siebie, a choć przemarzł do kości, pot spływał mu z czoła.

Teraz skręcił na prawo i przeraźliwy okrzyk wyrwał mu się z piersi. Kamień na którym stanął, zsunął się razem z nim i on wpadł w przepaść.

Najpierw usiłował chwycić się krzaków, które tu i ówdzie na skale wiodły skarłowaciały żywot. Były to przeważnie suche gałązki, co kruszyły się za dotknięciem.



Na zdjęciu pokaz ratowania tych, których we wodzie opuszczają siły. Osoba tonąca znajduje się między ratującymi, opierając na ich ramionach ręce i nogi.

Przewrócił kilka razy koziołka, leciał coraz prędzej, aby wreszcie na samo dno przepaści upaść bez przytomności.

. . . .

Kilka godzin upłynęło od kiedy dwaj wędrowcy wyszli z gospody.

Gedali zaczął się niepokoić, a dzielna jego połowica, która upiekła dwa kurczęta na powitanie gości, także dzieliła jego zmartwienie.

— Nie można wytrzymać z tymi mężczyznami — rzekła do córki — kurczęta się spalą na węgle, a te durnie nie wracają. Jakby tak każdy z nich miał żonę, toby ona już uważała na niego w podróży, aby mu się nic złego nie stało.

— A może oni żon nie mają — zauważyła chytra córeczka.

— Tym gorzej dla nich — mruknęła pod nosem Gedalowa — to pewnie robią jeszcze większe głupstwa. — No, ale teraz już nie będę dłużej czekać na nich, tylko wyszlę wszystkich chłopów aby ich poszli szukać.

Pani Gedalowa była dzielną niewiastą. W bardzo krótkim stosunkowo czasie zaalarmowała całą wieś; wymownie przekonała wszystkich, że wędrowcy zginą bez ich pomocy, i że ich świętym obowiązkiem, wędrowców od niechybnej śmierci jest ratować.

— A po co te durnie wybrali się bez przewodnika — mruknął jakiś barczysty chłop — pewnie chcieli zaoszczędzić tych parę groszy, a teraz to życiem mogą przypłacić.

Pani Gedalowa wzięła się pod boki i wycięła im perorę:

— Wstydzilibyście się tak mało mieć litości nad bliźnimi. Licho was nie weźmie, gdy wam kilka płatków śniegu spadnie na nos, a już ja, Gedalowa, ręczę wam, że zapłata będzie hojna. Macie tu na drogę wódkę, na wypadek weźcie nosze i koce, a jak wrócicie to będziecie mogli pić tyle, ile wam się tylko spodoba. Z tego jednak nie ważcie się upić jednej kropli, bo to nie dla was.

Najlepszy mówca nie byłby mógł wywołać większego wrażenia niż przemowa pani Gedalowej.

Chłopi podzielili się na cztery oddziały i niezwłocznie ruszyli w czterech kierunkach na poszukiwanie.

Na nieszczęście spadł śnieg, który zupełnie zatarł ślady wędrowców.

Długi czas poszukiwania ich pozostały bez skutku aż wreszcie usłyszeli strzał z rewolweru.

— Hola! Hola! — zaczęli wołać.

Odpowiedział im ktoś bardzo słabym głosem.

— Oni widocznie ochrypli już z tego nawoływania — rzekł jeden z chłopów — że tak cicho mówią, lub też są bardzo daleko.

Poszli w kierunku głosu i usłyszeli nowy strzał z rewolweru.

Po kilku minutach stanęli nad brzegiem ogromnej przepaści.

— Na pomoc! Na pomoc! usłyszeli wołanie z dołu.

— Do diabła, oni zlecieli na sam dół przepaści — ozwał się jeden z orszaku — jak my się tam do nich dostaniemy?

— Spuśćcie mnie na dół po linie — odezwał się jakiś odważny chłopak — ja ich uwiążę i wyciągniecie najpierw ich, a potem mnie.

Na szczęście sznurów było dość i można było odważnego chłopca spuścić na dół.

Chłopak znalazł Teobalda jęczącego w śniegu.

— Niech się pan uspokoi — pocieszał go — niech pan przede wszystkim wstanie.

— Nie mogę — jęczał Teobald — musiałem złamać nogę.

— Ej, idź pan, to niemożliwie. Przecież to nie tak głęboko, a pan spadłeś na miękki śnieg. Napij się pan trochę wódki, to panu dobrze zrobi — perswadował chłopak.

Podał mu flaszkę, z której Teobald pociągnął spory łyk wódki.

Gdy jednak później chciał go podnieść, zaczął krzyczeć, że go strasznie boli.

— To trudno — odrzekł — jakoś musimy wyciągnąć pana na górę, a gdzie tamten pan?

— Pod krzyżem — jęczał Teobald.

— Boże Najświętszy! Toż to godzina drogi — zaczął lamentować chłopak — w jaki sposób rozdzieliliście się tak?

Ale Teobald nic nie odpowiadał, tylko ogromnie jęczał.

Chłopiec pociągnął go o kilka kroków dalej, przy czym Teobald tak wrzeszczał, że góral patrzył na niego z pogardą.

Obwiązał go liną i zawołał na górę, żeby go wyciągnęli.

— Ostrożnie! — wrzeszczał Teobald — bo mnie zamordujecie, ginę z bólu!

— Ten dureń lamentuje jak baba — mruczał chłop, który go wyciągał — i to się nazywa mężczyzna!

Nareszcie wyciągnęli go na górę i Teobald zemdlał.

— Czy drugi jest tam także? — zawołano na dół.

— Nie ten leży pod krzyżem — odpowiedział chłopak — dobrze się oni urządzili, nie ma co mówić!

— Ha, trudna rada — rzekł Józef — nic nie pomoże! Czterech zaniesie tego do Gedalego, a reszta pójdzie pod krzyż po tamtego.

Gedalowa od godziny już wyczekiwała ich powrotu.

— Co, nieżywy? — zawołała, zobaczywszy nosze.

— Nie, nogi sobie najwyżej połamał. Trzeba posłać po Piotra, on się zna na różnych ziołach.

— Posłałam już po niego — odpowiedziała gospodyni, dumna z tego, że przewidziała potrzebę.

— Boże mój! To ten malarz! — zawołała patrząc na Teobalda, co tutaj u nas ludzi malował!

— Aha! I mnie on się wydawał taki znajomy — odpowiedział Józef.

— A gdzie tamten drugi? — zapytała Gedalowa.

Opowiedziano jej, co się stało i wniesiono nosze do wnętrza domu.

W gospodzie czekał już stary Piotr na ofiarę swojej umiejętności leczenia.

Był to mały, chudy człowieczek, z zakrzywionym nosem i małymi, czarnymi oczkami.

— Połóżcie go na łóżku — rozkazał, a Teobald, któremu wróciła przytomność, krzyczał, żeby mu rozcięli trzewik na nodze, bo ją złamał.

— Szkoda takiego ładnego trzewika — odpowiedział Piotr, nie darmo ja tyle lat chodzę koło bydła.

— A to byłoby ładnie, żebym ja się dał wykurować na kalekę, przez takiego konowała. Nawet palcem niech mię ten Piotr nie dotknie, bo będzie nieszczęście — krzyczał Teobald.

— No, no, nie jestem ludożercą — mruczał Piotr — inni ludzie uważają to sobie za honor, że ja ich kuruję.

— Doktora! — wrzeszczał Teobald — czyście wy ogłuchli?

Furman, który ich przywiózł, pojechał po doktora, a gospodyni zadawała choremu tysiące pytań.

Teobald obraził ją śmiertelnie, gdyż nie odpowiadał na nie, tylko wciąż jęczał.

Córka jej rozcięła mu pończochę na nodze i kładła zimne kompresy.

Za jakie dwie godziny wrócili i ci, którzy poszli szukać markiza.

— Proszę pana! — rzekli — tamtego pana nie można znaleźć!

— W takim razie nie byliście chyba pod krzyżem, rzekł rozgniewany Teobald.

— Byliśmy! — zapewniali chłopi. — Pod krzyżem są widoczne ślady ludzkiego ciała, pokryte tylko małą warstwą świeżego śniegu; więc musiał tam być, ale teraz już go nie ma.

— Durni jesteście, ślepe krety! — złościł się Hai.

— A to ładna podzięka za nasz trud! — odciął zimno i spokojnie Józef — jak znowu kto z gości zabłądzi, to niech pani kogo innego posyła, nie mnie.

Teobald zauważył, że zanadto sobie pozwolił i chciał to naprawić.

— Nie gniewajcie się kochani, że ja tak pomstuję. Ten pan jest moim przyjacielem i naturalnie, że jestem o niego niespokojny. Przyrzekam wam 20 złotych, jeśli jeszcze raz pójdziecie pod krzyż i przyniesiecie go.

— Pan bardzo tanio taksuje nasze życie — odpowiedział Józef chłodno — co pan sobie właściwie myśli? Za 10 minut będzie całkiem ciemno; myśli pan, że my za 20 złotych jesteśmy gotowi kark skręcić?

Tamci inni wszyscy już wrócili, bo nie chcieli się dać przyłapać nocą w polu.

— Ale przecież nie możecie go tam zostawić bez pomocy! — płakał Hai.

— Tamten pan albo dawno już zamarzł na śmierć i my mu nie pomożemy, albo też już go ktoś znalazł, a w takim razie pomoc nasza nie jest już potrzebna.

Teobald jęknął głośno na myśl, że może ten człowiek, na którego życie tak nastawał uszedł cało, i żałował, że go nie strącił w przepaść.

Zjawił się doktór i skonstatował, że Teobald złamał prawą nogę tuż nad kostką, a wszystko inne, to tylko nieznaczne uderzenia i zdarcia skóry, które się zgoją za kilka dni.

— Czy można mnie przetransportować do miasta? — zapytał Teobald.

— Nie, to niemożliwe, musi pan tu zostać, aż do całkowitego wyleczenia.

Zaczął mu nogę wyprostowywać i składać, przy czym Teobald krzyczał okropnie.

— Cierpliwości! — upominał go lekarz — na szczęście kość tylko w jednym miejscu jest złamana. Ja tu przenocuję i jutro rano znowu pana opatrzę.

Jeżeli panu mogę czym się przysłużyć, jak n. p. zawiadomieniem kogoś z krewnych pana o wypadku, to chętnie jestem gotów to uczynić.

— Dziękuję — mruknął Teobald niegrzecznie — rodzice moi dość wcześnie dowiedzą się o tym.

Lekarz zarządził wszystko co potrzeba i poszedł do szynkowni.

Teobald został sam ze swoimi myślami, które były bardzo przykre, bo co właściwie zyskał przez intrygi? Leżał tu w prymitywnym szynku ze złamaną nogą, podczas gdy markiz może zdrów i cały wygrzewał się gdzieś przy eleganckim kominku.

Na tę myśl porywała go piekielna złość, ale pocieszał się tym, że uratowanie markiza było niemożliwe. Fakt, że go nie znaleźli, tłumaczył sobie w ten sposób, że on prawdopodobnie raz jeszcze się zerwał i powlókł o kilkanaście kroków a następnie upadł na innym miejscu i że nazajutrz znajdą go tam zmarzniętego.

Pocieszony tym usnął i śniło mu się, że Ida została jego żoną i przyniosła mu w posagu kilka milionów.

ROZDZIAŁ CLXXIII.

W szałasie górskim

Młody chłopak, którego śnieżno-białe włosy stanowiły dziwny kontrast z czarnymi oczyma, gwiżdżąc sobie szedł drogą i ciągnął małe, ręczne sanki.

Przechodząc koło krzyża, zatrzymał się.

Tu trzeba zmówić pacierz — szepnął.

Klękając zobaczył leżącego opodal człowieka.

— Poczekaj trochę — mruknął — naprzód Pan Bóg, a potem ludzie.

Kiedy skończył pacierz, pochylił się nad nim.

— Wypoczywałeś sobie tutaj i zamarzłeś? — pytał dobrodusznie — czekaj, przywiozę ciebie staremu Janowi, zamiast drzewa.

Wziął go na sanki i szybko powiózł go tą samą drogą, którą przyszedł.

Po drodze spotkał jakiegoś starego człowieka.

— A co tam wieziesz Ignacy? — zapytał.

— Nie wiem — odpowiedział spokojnie obłąkaniec, znalazłem go już zimnego pod krzyżem i przywiozłem go tobie...

Może go jeszcze można odratować — zawołał Jan, zdjął prędko z siebie kurtkę i zarzucił na markiza, leżącego na sankach. Następnie chwycił sznur i ciągnął je szybko, każąc Ignacemu popychać z tyłu.

Po pewnym czasie dotarli do chatki górskiej, którą, o ile się zdaje, była ich mieszkaniem.

Tu Jan rozebrał markiza, kazał przynieść śniegu i nacierał go silnie.

Następnie rozkazał Ignacemu wlać mu wódki do ust.

Markiz jednak tak silnie miał zaciśnięte zęby, że to się nie dało wykonać.

— Więcej śniegu — zawołał Jan krótko, ale rozkazująco.

Obłąkany pobiegł szybko i po krótkiej chwili przyniósł dużą miskę śniegu.

Jan rozpoczął dzieło na nowo.

Po pewnym czasie okazał się skutek. Nos zamarzniętego zaczął pracować, zęby nie były już tak mocno zaciśnięte, czarne jego włosy zaczęły drżeć.

— Spróbuj teraz znowu nalać mu trochę wódki do ust, Ignacy. Weź do tego drewnianą łyżkę — zawołał Jan.

Obłąkany wyrostek nalał pełną drewnianą łyżkę wódki, którą wsączył do ust nieszczęśliwemu markizowi.

— Połknął — zawołał triumfująco.

— Zagrzej nasze koce, Ignacy — rozkazywał dalej Jan — i postaw wodę na ogień, zagotujemy mu ponczu. To go postawi na nogi.

Wziął zagrzane koce, zawinął w nie markiza i tak długo go masował, aż ten ... wyż byłczy... cale lato...

— ... Bogu — zawołał góral szczerze, przebrał markiza w grube ciepłe szaty, których sam był właścicielem, potem we wszystkie koce, które posiadał i z pomocą Ignacego zaniósł go na ciepłe łoże.

Ułożywszy go na nim wygodnie, przykrył jeszcze sianem, potem w pogiętym, blaszanym garnku przyrządził grok, który mu następnie wlewał łyżeczką do ust, gdyż markiz nie miał sił utrzymać garnuszka w ręce.

— Tak — a teraz niech pan śpi — rzekł dobrodusznie, gdy markiz de Lorme wypił — sen pana pokrzepi.

— Czy jeszcze daleko do chaty starej Marty? — zapytał markiz trwożnym głosem, ale naturalnie po francusku.

W następnej chwili przypomniał sobie, że przecież ci górale nie mogą po francusku rozumieć, ale jakże się ucieszył, gdy staruszek, wprawdzie błędnie i łamanym językiem francuskiem, lecz zawsze zrozumiale odpowiedział:

— O jakiej starej Marcie pan myśli? Może o Gedalowej? Ale ona przecież jeszcze nie jest tak bardzo stara.

— Nie Gedalowa — odpowiedział markiz — to stara Marta, która przez 20 lat służyła u aptekarza Haia we Wiedniu.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

FLAVIA STENO. 5)

Nauczycielka

Z początku zastanawiałam się trochę nad stosownością posyłania ciebie, takiego jeszcze dziecka, do domu mężczyzny, młodego jeszcze wdowca.

Ale obecność miss Lawinii w zamku uspokajała mnie całkowicie. Mając miss Lawinię przy sobie, nie mogłaś się narażać na niczyje zarzuty.

Dzisiaj jednak sytuacja się zmieniła: miss Lawinia nie żyje, a ty zostałaś sama, zanadto sama w zamku. Jesteś dosyć rozumna i rozsądna, aby zrozumieć, że jest niemożliwością twoje dalsze pozostawanie u sir Herberta. Mam całkowite zaufanie do ciebie i wiem, że jesteś poważna i bardzo dobra, ale świat jest zły i plotkarski, a świat nie omieszkałby robić komentarzy.

Przyrzekłam twoim rodzicom, że zastąpię ci matkę i nie mogę pozwolić, aby ludzie obmawiali cię. Wiem, ile cię bólu będzie kosztowało opuszczenie Lynn-Castle, gdzie dotąd żyłaś spokojnie, gdzie wszyscy cię kochali i gdzie zrobiłaś tyle dobrego. Ale tak każe obowiązek, a ty nie jesteś dziewczynką, zdolną zawahać się przed spełnieniem obowiązku.

Aby ci oszczędzić przykrości tak delikatnych tłumaczeń wobec sir Herberta, sama napisałam dzisiaj do niego, uprzedzając go o twoim wyjeździe i podając jego powody. On wie, że piszę do ciebie.

Bądź jednak spokojną co do twej przyszłości; wystarałam ci się już o miejsce w domu baronowej di Schönbrunn w Lipsku. Będzie ci tam bardzo dobrze i przyzwyczaisz się prędko.

Odwagi zatem, najdroższa moja Giannino i do zobaczenia niedługo! Gdy wyjedziesz z Lynn-Castle, przyjedziesz przepędzić piętnaście dni w naszej willi nad Lago di Como, prawda?

Do zobaczenia więc niedługo i jeszcze raz zalecam ci: miej odwagę! Bez odwagi nie ma cnoty na tym świecie!

Twoja oddana przyjaciółka
Leonora di Roussel.

10 marzec.

Ach, co za okropna niespodzianka! Smutny list otrzymałam wczoraj od margrabiny di Roussel: odkrywa on tę smutną prawdę, o której nie pomyślałam dotychczas.

To prawda. Moja obecna sytuacja w Lynn-Castle jest bardzo delikana i oczywiście nie mogę też pozostać dłużej odkąd nie ma tu już kobiety, która by mogła mię osłaniać wobec świata! Ach, jaka to smutna rzecz — świat! Przez niego muszę opuścić ten gościnny dom, gdzie tak już przyzwyczaiłam się do wszystkich i do spokojnego home'u angielskiego... A przede wszystkim opuścić te drogie dzieci, które tak pokochałam: moją małą Daisy, słodką i niewinną Katty, co tak ładnie zaczyna mówić i chodzi już pewnie, a zwłaszcza mojego biednego Lorenza, jemu się będzie tak przykrzyć bez mojego towarzystwa, do którego się przyzwyczaił!...

Ach, jakie to smutne! Ale tak trzeba!

Sir Herbert St. John do margrabiny di Roussel.

Lynn-Castle, 10 marzec.

Moja łaskawa przyjaciółko!

Potrzebuję całej Pani wyrozumiałości i proszę o nią od razu, ażeby ten list nie zdziwił Pani zanadto.

Otrzymałem cenny list Pani i nie umiem Jej wyrazić, jak wielki sprawił mi on ból. W okropnej rozpaczy, w jakiej znajduję się od tak dawna, raniony ustawicznie we wszystkich swych najdroższych uczuciach, nie przypuszczałem, że ma mi teraz zabraknąć tej jedynej jaka mi jeszcze zostawała. Drugiej matki mych dzieci! O droga przyjaciółko! Uwagi Pani są więcej niż słuszne. Niech Bóg broni, by dobra i słodka miss Jane miała zostać mimo woli skompromitowana w oczach świata, przez mój niesprawiedliwy egoizm!

Ale niech mi Pani wierzy, że to rozłączenie byłoby dla mnie ponad siły!

Podczas okropnej choroby, którą przeszła dlatego, że zbyt wspaniałomyślnie poświęcała się przy łożu mej biednej siostry, zrozumiałem, jak wielkie miejsce zajmuje w mojej rodzinie i — Pani mogę to śmiało powiedzieć — w moim sercu, panna De Breda. Nie mógłbym już pozostać bez niej!

A zresztą, jeżeli wszystkie nauczycielki muszą uciekać z mojego domu dlatego, że mam nieszczęście być wdowcem, — jak Pani myśli, komu mam powierzyć moje biedne dzieci?...

Czyż uczucie, jakie żywiła Pani dla mej biednej Cycylii, nie powstrzymuje Jej od napisania tego smutnego słowa, które nazywasz Pani obowiązkiem? Uważa Pani za rzecz słuszną zadać mi ten nowy ogromny, ból i właśnie gdy znów świeżo dotknęło mnie nieszczęście?

Gdzie Pani ma nadzieję znaleźć panienkę tak inteligentną, młodą, miłą, dobrą i słodką, jak ta? Która chciałaby zagrzebać się w pustkowiu Lynn-Castle i oddać się cała dwom dziewczynkom, zaledwie umiejącym mówić i biednemu, choremu chłopcu?

Mój biedny Lorenzo był zrozpaczony już pozbawieniem go towarzystwa miss Jane podczas jej choroby; i to do tego stopnia, że ukrywaliśmy przed nim niebezpieczeństwo tej choroby! Jakże Pani chce, aby zniósł ogromny ból rozstania z nią?

A miss Jane cierpi także. Dziś wieczór powiedziała mi, że chce mówić ze mną. Trzymała w ręce list i domyśliłem się, że musiał to być list Pani. Nie chciałem, by odjechała. Powiedziałem jej: Niech pani zaczeka, najpierw muszę jeszcze ja napisać do margrabiny.

Niech mi pani wierzy, moja przyjaciółko, nie mogę się rozstać z tą doskonałą istotą!... Gdybym miał syna, godnego jej, chciałbym, by została jego żoną; a tak... wymarzyłem sobie coś, co poddaję Jej światłemu rozumowi do oceny...

Czy sądzi pani, margrabino, że byłoby to wielkim szaleństwem, gdybym się ożenił po raz drugi? I że byłoby istotnie potwornością, gdybym poprosił pannę de Breda, by została prawdziwą matką mych dzieci? O margrabino, błagam, niech pani będzie trochę wyrozumiała!... Albo czy wydaje się Pani, że moje czterdzieści dwa lat tworzy zbyt wielki rozdźwięk z dwudziestu latami miss Jane? Nie jestem już młody, to prawda, a bardziej jeszcze niż ciało, zmęczoną mam duszę, wskutek smutków i rozczarowań. W tym małżeństwie nie szukałbym na pewno płomiennej i idealnej miłości z dni pierwszej młodości, nie!

Chciałbym tylko mieć towarzyszkę serdeczną i dobrą, matkę dla moich dzieci przede wszystkim, abym mógł być spokojnym i patrzeć w przyszłość bez zbytniego smutku.

Byłbym raczej ojcem; niż mężem dla miss Jane. Oczywiście nie mogę żądać od niej miłości. będę już szczęśliwy, gdy posiądę jej szacunek. jej zaufanie, jej uśmiech pogodny i wesoły. Nigdy nie żądałbym od niej tego, czego tylko mi-

łość może wymagać. Z czasem ona zrozumie nieskończoną tkliwość, jaką we mnie wzbudziła i może mi ją odwzajemni...

Moja biedna Cecylia nie może być zazdrosną o ten mój wybór. Na pewno ona sama postawiła na mej drodze tę słodką istotę, by jej dzieci nie były zbyt same i zbyt smutne na ziemi!

Margrabino, czy zechce Pani być tak dobrą i napisać do panny de Breda to, o czym ośmieliłem się zamarzyć?

Może moja prośba wyłuszczona przez Panią dozna lepszego przyjęcia. Może nie zechce odrzucić mego nazwiska i mego uczucia!

Niech Pani będzie dobra! Pani mi zawsze przynosiła szczęście. Pozwoli Pani, bym był trochę przesądny i oczekiwał od niej dobrej nowiny. Oczekuję jej z niepokojem, a tymczasem zasyłam serdeczne pozdrowienia.

Oddany Pani

sir Herbert.

12 marzec.

Sir Herbert nie chciał, bym powzięła na razie jakiekolwiek postanowienie. Prosił mnie tak gorąco, bym poczekała jeszcze kilka dni z decyzją, że nie miałam serca upierać się.

Wydał mi się bardzo wzruszony, biedny sir Herbert! Prawie, że nie mam odwagi prowadzić lekcyj, przerwanych chorobą biednej miss Lawinii! Po co, jeżeli mam odjechać?

Ach, biedna Daisy, biedny Lorenzo!

Mam wrażenie, że ten nieszczęśliwiec coś podejrzewa: śledzi mnie cały dzień wzruszonym i niespokojnym spojrzeniem, przedstawia mi nieskończoną ilość projektów na nadchodzące lato, a mnie, gdy tego słucham, oczy napełniają się łzami.

Dzisiaj, niby żartując, spytałam go:

— A gdybym odjechała, Lorenzo?

— Ty miałabyś odjechać? — zawołał, otwierając szeroko oczy, pociemniałe od bólu i pełne przerażenia. — Ja również odjechałbym tam! — rzekł, wskazując na niebo.

Ach, jak mi smutno ogromnie!

20 marzec.

Mam przed sobą list margrabiny di Roussel i list sir Herberta, który mi ona załącza. W takie mnie jednak one zdumienie wprawiły, że wydaje mi się, jakbym się jeszcze nie zbudziła dobrze z przedziwnego snu!.

Ja baronową St. John?

Ja żoną sir Herberta?

Muszę zastanowić się, a przede wszystkim pomodlić.

O, moja biedna mamo, natchnij mnie ty!

21 marzec.

Wczoraj wieczór nie zeszłam na obiad, a dzisiaj rano sir Herbert przysyłał już dwa razy, by zapytać o mnie.

On wie, że dostałam jego prośbę, i z niepokojem czeka na odpowiedź.

Tak się modliłam i płakałam!.

Zapewne, nie takie byłoby marzenie moich dwudziestu lat! To serce, tak spragnione słońca i światła, domagało się innej miłości! A jednak!

Marzenia dawno umarły, a przeszłość pogrzebana jest na zawsze!

Dlaczego nie miałabym się zgodzić zostać prawdziwą matką moich adoptowanych dzieci? Bóg mnie błogosławi i w spokoju i zadowoleniu ze spełnionego obowiązku znajdę to szczęście, którego może zawsze byłabym szukała na próżno!...

Sir Herbert jest tak dyskretny i delikatny w swym liście!...

Tyle jest czystego i pełnego szacunku uczucia w obawie, jaka towarzyszy jego marzeniu!...

Margrabina również radzi mi dobrze zastanowić się, nim odmówię! A moja matka szepce mi, bym przyjęła zadanie, jakie Bóg mi naznacza.

Jedna myśl gnębi mnie; jestem spokojna co do Daisy, ale Lorenzo, jak on przyjmie to małżeństwo! Nie mogę zdecydować się, nie poradziwszy się go.

21 marzec (wieczór)

Sir Herbert oczekiwał mnie w swoim gabinecie: nie wiem, kto z nas dwojga był bledszy, on chwiał się trochę, podchodząc ku mnie: a ja zebrałam wszystkie swe siły, by się uśmiechnąć do niego. Wyciągając do niego rękę, szepnęłam: dziękuję, które mu nieco dodało otuchy.

— Przynosi mi pani wyrok śmierci? — zapytał, zmuszając się do uśmiechu. Oboje byliśmy bardzo wzruszeni.

— Pozwoli pan! — spytałam, siadając.

Zajął miejsce obok mnie.

— Chciałbym oszczędzić pani męki, jaką pani przeżywa w tej chwili, miss Jane — rzekł smutnie.

— Dziękuję; pan jest bardzo dobry, znacznie lepszy, niż ja na to zasługuję. Odgadł pan: margrabina pisała do mnie i przysłała mi pański list.

Zarumienił się, jak chłopiec.

— Przepraszam, że nie zeszłam wczoraj wieczór, sir Herbercie. Byłam bardzo zdziwiona, bardzo wzruszona i chciałam być sama z myślami.

— A teraz? — zapytał, oddychając ciężko.

— Teraz? Mam pana jeszcze o coś zapytać, sir Herbercie: czy pomyślał pan o Lorenzu?

— Tak — odrzekł. — Myślałem o wszystkim i myślę, że nie omyliłem się, sądząc, że Lorenzo będzie szczęśliwy, mając panią zawsze przy sobie.

— Lorenzo jest dziwnym chłopcem, Kto wie, czy z równą radością, z jaką uważał mnie za swą przyjaciółkę, przyjmie mnie za matkę.

— Tak pani sądzi? — spytał w zamyśleniu.

— Dlatego — ciągnęłam — chciałam, zanim dam panu odpowiedź, prosić, by mi pan pozwolił poradzić się najpierw właśnie syna pańskiego.

Wydawał się zdziwiony.

— Proszę pana — ciągnęłam dalej — niech mi pan pozwoli.

— Niech pani tak zrobi zatem, miss Jane — rzekł cicho —, i oby Bóg dał, bym zobaczył spełnione moje marzenia.

— Amen! — rzekłam cicho, uśmiechając się i patrząc na niego.

* *
*

W ogrodzie znalazłam Lorenza, na szczęście, samego.

Peter oddalił się na chwilę.

— Dlaczego nie zeszłaś wczoraj, Giannino — zapytał mnie natychmiast.

To imię, tak poufale wymówione przez niego i ten ton koleżeński, tak miły i serdeczny, zrobił na mnie dziwne wrażenie, bardzo sprzeczne z tym, co miałam mu zakomunikować.

— Rozmyślałam — rzekłam, by go przygotować.

Moja odpowiedź zdawała się dziwić go bardzo, gdyż spojrzał na mnie pytająco.

— Tak — rzekłam — byłam bardzo smutna i nie mogłabym była jeść obiadu.

— Co cię dręczyło, Giannino?

— Och, wiele melancholijnych myśli, którymi nie chcę cię niepokoić.

— Nie, nie, powiedz mi choć jedną.

— Otóż, czy nie myślałeś nigdy, Lorenzo, o tym, że po śmierci waszej biednej ciotki, wszystko tutaj bardzo się zmieniło?

— Jak to?

— Otóż słuchaj: ja także muszę ci wyznać, że nie myślałam o tym, ale kilka dni temu, list margrabiny di Roussel, przyjaciółki szkolnej mojej biednej mamy, otworzył mi oczy na to, że położenie moje, jako młodej dziewczyny, nie pozwala mi na pozostawanie w domu młodego jeszcze wdowca, odkąd nie ma już tu biednej miss Lawinii, która by mnie strzegła.

Zbladł, przewidując, co nastąpi.

— A więc? — szepnął.

— Więc, więc... ponieważ ludzie mówiliby i mówiliby źle, lepiej będzie nie dawać powodu do obmowy i zrobić to, co dla nas wszystkich będzie wielkim poświęceniem.

— Odjedziesz? ty odjedziesz, Giannino? — zapytał, wybuchając rozpaczliwym łkaniem. Próbowałam go uspokoić serdecznymi słowami, ale nic nie pomogło!

— Och, Boże, Boże, jaka ty jesteś okrutna! Jak chcesz, żebym żył bez ciebie? Ja tak bardzo kocham, Giannino i widzisz przecie, że znoszę z rezygnacją nawet moje nieszczęście, odkąd ty jesteś tutaj! Ale ty jesteś już zmęczona towarzystwem chorego, prawda? Masz już dość samotności tego Lynn-Castle, gdzie tylko smutki i zmartwienia mieszkają! Jedź, jedź, wszystkie twoje tłumaczenia są słuszne, ale ja wiem dobrze, że ja który cię tak bardzo kocham, nie uważałbym na ludzi!...

Nie mogłam słuchać tych okrutnych wyrazów, a jednak nie miałam odwagi przerwać mu. Potrzebowałam tego wybuchu boleści, by przygotować go do lepszego przyjęcia nowiny, którą miałam mu oznajmić. Ogromną litość wzbudzało we mnie to biedne bezwładne ciało, poruszane i wstrząsane szlochami!... ileż razy widziałam płaczące te biedne oczy podkrążone i podsiniałe.

— Giannino, Giannino, nie odjeżdżaj! — błagał, patrząc na mnie z przejmującym smutkiem. — Gdybyś wiedziała, jak bardzo cię kocham! Jesteś taka dobra i miła i kochana, jesteś taka dzielna i piękna, że chcę cię mieć zawsze tutaj, zawsze przy sobie! Nie opuszczaj mnie, Giannino moja!

Potem nagle:

— A papa? zapytał. Co mówi papa?

Wówczas wymierzyłam największy cios.

— Papa znajduje, że uwagi margrabiny są zupełnie słuszne.

— A co z nami zrobi w takim razie? Kto zajmie się Katty, Daisy, mną?

— Twój ojciec jest młody, może jeszcze ożenić się powtórnie...

— O, nie! — przerwał rozgniewany. — Papa nie zrobi tego; on zanadto kochał biedną mamę, nie zechce, by inna kobieta zajęła jej miejsce; nie zechce dać nam macochy!...

— Nie przyjąłbyś jej Lorenzo?... nawet — szepnęłam cichutko, nie patrząc na niego — nawet gdyby tą kobietą, a drugą matką miałabym być ja?...

— Ty? — wykrzyknął, drgnąwszy — Ty?

Spojrzeliśmy na siebie: w jego oczach odmalowało się takie zdziwienie, że nie mogłam zrozumieć, czy był to raczej ból, czy zdumienie.

— A zatem? — spytałam, biorąc go za rękę.

— Ty? — powtarzał cicho, patrząc w górę, pomiędzy zaledwie rozwinięte listeczki.

— Słuchaj — rzekłam wówczas.

I opowiedziałam mu o swoim postanowieniu odjazdu, o liście margrabiny i sir Herberta, o jego cierpieniach i nadziejach, wreszcie o tym, jak bardzo pragnie on dać matkę swym dzieciom i że to pragnienie właśnie było istotnym powodem jego oświadczenia.

I powiedziałam mu jeszcze, że chciałam go zapytać, nim się zdecyduję, ponieważ, gdybym się zgodziła, zrobiłabym to dla nich, dla niego zwłaszcza, by go nie opuszczać, bo kocham go bardzo i nie chcę widzieć go smutnym.

I że, gdyby to małżeństwo miało go zmartwić, wyrzekłabym się go natychmiast.

W miarę, jak mówiłam, rozpogadzał się; wreszcie, z największym wysiłkiem przychylił ku mnie swą biedną jasną głowę i szepnął:

— W takim razie, skoro będziesz moją drogą mamusią, więc pocałuj mnie!

* * *

Sir Herbert czekał na mnie jeszcze nieruchomo w swym gabinecie; gdy weszłam, przytrzymał oburącz głowę.

— Więc? — zapytał,zaledwie mnie spostrzegł.

— Oby Bóg pozwolił mi dać panu szczęście! — rzekłam, uśmiechając się i podając mu czoło.

— Pani jest aniołem! Niech Bóg i moja biedna Cecylia błogosławi panią!...

1 kwiecień.

Tak, aby Bóg i moje biedne zmarłe błogosławiły mi! Jestem narzeczoną sir Herberta; oczekujemy w poniedziałek margrabiny di Roussel, która zgodziła się przyjechać i pzostać tu aż do końca ceremonii. Zrobimy wszystko bardzo skromnie, całkiem prywatnie, bez zabaw i przyjęć z powodu żałoby, którą sir Herbert nosi po siostrze!

Żeby mi tylko Bóg błogosławił w tym nowym życiu, w jakie wstępuję!...

CZĘŚĆ II.

Dziennik Lady St. John.

Lynn-Castele, 1 czerwiec.

Mój mąż, moje dzieci! Z jaką głęboką tkliwością, z jaką nieskończoną wdzięcznością piszę te słowa!... Tu jest całe marzenie przeszłości i całe światło przyszłości! Bóg był nieskończenie dobry dla mnie, niczego już mi nie brakuje. Wróciłam do pozycji, jaką miałam dawniej, wypełniłam pustkę serca, zaspokoiłam potrzebę ofiarowywania rozdawania dookoła skarbów przywiązania i uczucia, które były we mnie: stałam się dziedziczką uczuć biednej zmarłej. Posiadam serce, czułość i życie człowieka szlachetnego, inteligentnego, kochającego i ogromnie dobrego! Czego mogłam pragnąć więcej? Jego żoną! jak mi się to wydaje nieprawdopodobnym! I pomimo dobroci i niezmiernej delikatności, jaką mnie otacza, czuję rodzaj nieśmiałości, która mi przeszkadza w okazaniu całego uczucia i ogromnej wdzięczności, jaką mam dla niego. Spraw Panie abym potrafiła dać mu to szczęście, na które zasługuje i którego tak potrzebuje jego biedne serce, doświadczone bólem!

25 lipiec

Jak leci czas, gdy się jest szczęśliwą! Szczęśliwą!... przed rokiem myślałam, że to słowo umarło dla mnie!

O mój Herbercie! jakże ci jestem wdzięczną!

Dzisiaj są urodziny Lorenza: zrobiliśmy małą rodzinną uroczystość i ofiarowaliśmy mu wiele książek. Ten biedny Lorenzo jest jedyną ciemną chmurą na naszym jasnym, przezroczystym horyzoncie! Jaka to przykrość ogromna, nie móc go uleczyć!

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 22 sierpnia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Regionalna transmisja z Wisły z okazji „Święta Gór". Msza polowa — Defilada grup regionalnych przed Panem Prezydentem R. P. 11.30 Drobne utwory skrzypcowe i organowe — (płyty) 12.03 Od Kamieńskiego do Karłowicza — poranek muzyczny 13.10 Koncert muzyki lekkiej i tanecznej 15.00 Audycja dla wsi 16.00 Koncert rozrywkowy dla młodzieży z Parku na Woli 17.30 Transmisja regionalna z Wisły z okazji „Tygodnia Gór" 18.15 „W ruinach z czasów Minosa" — felieton 18.30 Utwory Klaudiusza Debussy'ego 19.35 Transmisja z Międzynarodowych zawodów lekkoatletycznych Polska—Niemcy. 20.00 Wiązanki operetkowe w wyk. zespołów wokalnych — płyty 21.00 „Transmisja z ogrodu zoologicznego" — Wesoła Syrena 22.00 Recital śpiewaczy Desire Ligeti 22.30 Fryderyk Delius — płyty.

Poniedziałek, dnia 23 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Georges Bizet — płyty 12.40 „Od warsztatu do warsztatu" — wizyta w cechu mularzy 16.00 Antoś chce być technikiem: „Wydobywamy skarby ziemi" — audycja dla dzieci starszych 16.15 Antoni Dworzak — kwartet fortepianowy D-Dur op. 23 16.45 „W jednym łapciu — w drugim bucie" — felieton 17.00 Koncert Kapeli Ludowej Feliksa Dzierżanowskiego 18.15 Oryginalne piosenki meksykańskie — płyty 19.00 Audycja strzelecka 20.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R. 21.05 Koncert symfoniczny w wyk Orkiestry Symfonicznej pod dyr. B. Paumgartnera — transmisja z Salzburga 21.45 „Dni powszednie państwa Kowalewskich" — powieść mówiona 22.00 Koncert rozrywkowy Orkiestry P. R.

Wtorek, dnia 24 sierpnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 12.25 Koncert orkiestry K. P. W. w Katowicach 16.00 Zagadka geograficzna — Audycja dla dzieci 16.20 Nasze pieśni w wyk. Heleny Zboińskiej—Ruszkowskiej 16.45 Ziemia rodzinna M. Karłowicza — felieton 17.00 Ork. Filharmonii Warszawskiej pod dyr. J. Ozimińskiego — Transmisja z Ciechocinka 18.15 Z operetek Millöckera i O. Strausa — płyty 19.00 „Sposób na kobiety" — skecz Jerzego Gerżabka 19.15 7-ma audycja z cyklu „Symfonie Beethovena" 20.05 „Nad Jadranem" — audycja muzyczno-słowna 21.05 Melodie filmowe i rewiowe w wyk. Tria Salonowego 21.45 Dni powszednie państwa Kowalskich 22.00 Recital fortepianowy Henryka Mierowskiego 22.30 Pieśni włoskie i polskie w wyk. Józefa Koralkiewicza.

Środa, dnia 25 sierpnia 193 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Piosenki i walce — koncert z Łodzi 16.00 Między polskimi i francuskimi wierszami — szkic z cyklu „Z mojego warsztatu" 16.15 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry 16.45 Roman Sanguszko — odczyt 17.00 Koncert solistów 17.50 Kauczuk — pogadanka 18.15 Ze świata bajek Mickey Mouse — płyty 19.00 „Słynni dyrygenci" — 19-ta audycja — płyty 20.00 Koncert orkiestry mandolinistów „Kaskada" 21.00 Koncert chopinowski 21.45 „Dni powszednie państwa Kowalskich" powieść mówiona 22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 26 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert orkiestry wojskowej 16.00 „Sierpień" — pogadanka dla dzieci starszych 16.15 Jak Brahms: Sonata G-Dur op.: 78 16.45 Obozy wypoczynkowe dla kobiet pracujących 17.00 1000 taktów muzyki w wyk. zesp. S. Rachonia 18.15 Muzyka lekka — płyty 19.00 „Pieśń o Bośni" — słuchowisko (wznowienie) 20.00 Koncert muzyki lekkiej i tanecznej 21.45 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona 22.00 Recital śpiewaczy Ireny Cywińskiej 22.30 Żniwne pieśni na Śląsku — audycja słowno-muzyczna.

Piątek, dnia 27 sierpnia 193 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert w wyk. Ork. Salonowej T. Rydera 16.15 Dawna i nowoczesna muzyka hiszpańska — koncert 16.45 Brzegami Wisły środkowej — reportaż 17.00 Koncert rozrywkowy 17.50 Tężec — pogadanka 18.15 Pogadanka konkursowa 18.20 Pieśniarze amerykańscy — płyty 19.00 Płyty dla znawców — nowoczesna muzyka kameralna 20.00 „Wieczór melodyj operetkowych" — w wyk. Małej Orkiestry 21.45 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mów. 22.00 Koncert orkiestry Polskiego Radia.

Sobota, dnia 28 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 „Melodie północy" w wyk. Orkiestry A. Hermana 16.00 „Uciekła mi piosenka" — wesoła audycja dla dzieci 16.30 Recital śpiewaczy Janiny Hupertowej 16.55 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego 17.30 Audycja konkursowa 17.50 Przez lasy i góry Szwajcarii Kaszubskiej — pogadanka 18.15 Albert Sandler w repertuarze operowym, operetkowym i filmowym 19.00 Recital fortepianowy Zbigniewa Drzewieckiego 20.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21.05 Arie operowe w wyk. Ireny Gadejskiej i S. Witasa 22.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry.

HUMOR

W KALIFORNII

W pięknej miejscowości wycieczkowej na południu Kalifornii mr. Slumkin utrzymuje restaurację.

— Prędzej, przeklęte dusze! — popędza murzynów. — Prędzej! Nie łazić, jak muchy w smole! Zwijać się! Goście czekają!

— Powoli, mr. Slumkin — mityguje go któryś. — Wszystko zdążymy. Rzymu też nie zbudowano w jeden dzień.

— Nic mnie to nie obchodzi. Ja nie prowadziłem tamtego interesu. U mnie musi być ruch!

EGZAMIN PRAWNIKA

Młody prawnik zdaje egzamin. Przy stole siedzi grono osób, zadających mu pytania. Jedno z pytań brzmi:

— W jakim wypadku jest konieczną obecność czterech rzeczoznawców?

— Jeżeli chcą grać w bridża...

NIE DA SIĘ NABRAĆ

Pan Kotek poszedł do cyrku. Atrakcją programu był numer, polegający na tym, że młoda kobieta została pocięta piłą na dwoje.

Pan Kotek przypatruje się numerowi i mówi do swej żony:

— Bujda! Nie może być, żeby tę kobietę naprawdę przecinali, bo gdyby tak codzień przecinali po kobiecie, toby bilety musiały być droższe!

PRAWDZIWA MIŁOŚĆ

— Słuchaj Fredziu, Mania twierdzi ciągle, że ty ożeniłeś się ze mną wyłącznie dla pieniędzy. Co ty na to?

— Ależ nie wierz w te bzdury! Ona jest zazdrosna, że się z nią nie ożeniłem, bo nie miała ani grosza!

CIĘŻKA OBRONA

Do celi mordercy wchodzi adwokat.

— To was oskarżają o zabójstwo?

— Tak, zabiłem wujka.

— Tylko jednego wujka?

— Miałem tylko jednego wujka.

— To szkoda! Nawet wielka szkoda! Gdybyście wymordowali całą rodzinę, to mógłbym chociaż stwierdzić, że jesteście niepoczytalni!

JEDYNY SPOSÓB

— Starzejemy się, starzejemy! — zrzędził 70-letni pan do 80-letniego kolegi.

— Tak, — odpowiada tamten z westchnieniem, — ale cóż zrobić, kiedy to jest, niestety, jedyny sposób, aby długo żyć!

ZNA JĄ

— Co pan wycina z gazety?

— Artykuł o mężu, który zamordował żonę, bo przeszukiwała mu kieszenie!

— Na co to panu potrzebne?

— Włożę do kieszeni w marynarce...

POCIECHA

W kantorze domu zleceń „Kaputka i S-ki" dzwoni telefon. Podchodzi sam szef, bierze słuchawkę i odzywa się:

— Proszę, tu Kaputek...

Słucha przez chwilę, po czym odpowiada ze złością:

— I ty mnie też!

Rzuca słuchawkę na widełki, a po chwili mówi do siebie:

— No, nic. Przynajmniej jakieś zlecenie człowiek otrzymał...

SZCZYT SPRAWIEDLIWOŚCI

— Zaasekurowałem się na wypadek śmierci.

— Naturalnie! Wiedziałam! Zawsze byłeś egoistą! Siebie zaasekurowałeś, a mnie nie. Bo ty zawsze myślisz tylko o sobie...

WŁAŚNIE DLATEGO

— Różę, którą mi pani dała, mam dotąd i kiedy na nią patrzę, przypomina mi panią.

— Musi już być zupełnie zwiędła...

— Właśnie dlatego.

MIŁA NIESPODZIANKA

— Podczas kiedy mój mąż podróżował, nauczyłam się gotować, żeby mu zrobić niespodziankę.

— I co zrobił po powrocie?

— Zaraz pojechał w dalszą podróż...

JEST NA TO RADA

— O, jaką śliczną żaglówkę pan posiada — robi uwagę młoda panienka, podziwiając z mostu samotnego wioślarza.

— Tak — odpowiada z uśmiechem sportowiec — ma ona jednak głupi błąd.

— Jaki? — pyta zaciekawiona.

— Widzi pani, oto na przykład, gdybym chciał pocałować dziewczynkę, siedzącą obok w łódce, to zaraz się nachyla i oboje znaleźlibyśmy się w wodzie.

— Ach — mówi panienka — umiem pływać...

TYLKO DO ŚMIERCI

Żona: — Jakby to dobrze było, gdybyśmy na tamtym świecie też byli razem...

Mąż: — O przepraszam bardzo...

— Nie chciałbyś kochanie?

— Przecież ślubowałem ci tylko do śmierci, a mnie się też chyba kiedyś będzie należało trochę swobody?...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/2 strony 225,— zł 1/1 strona 450,— złotych. trowy szerokości 32 otych i t. d. Wiersz milimeszenia: za każdy mm 25 groszy. Drobne ogłojących pracy 50 wyraz 10 groszy, dla poszukumiejsca dolicza procent zniżki. Za zastrzeżenie muje się najpóź się 50 procent. Ogłoszenia przyjniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1